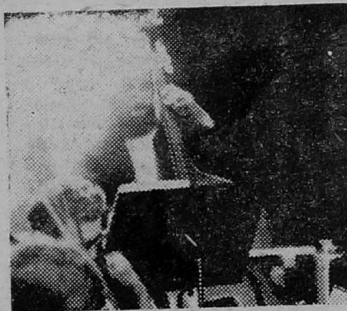




**PODZWON-  
NE DLA WY-  
CUGÓW 6**



**TECZOWYM  
SZLAKIEM 8**



**MOJA DRO-  
GA DO  
ŁOMŻY 11**



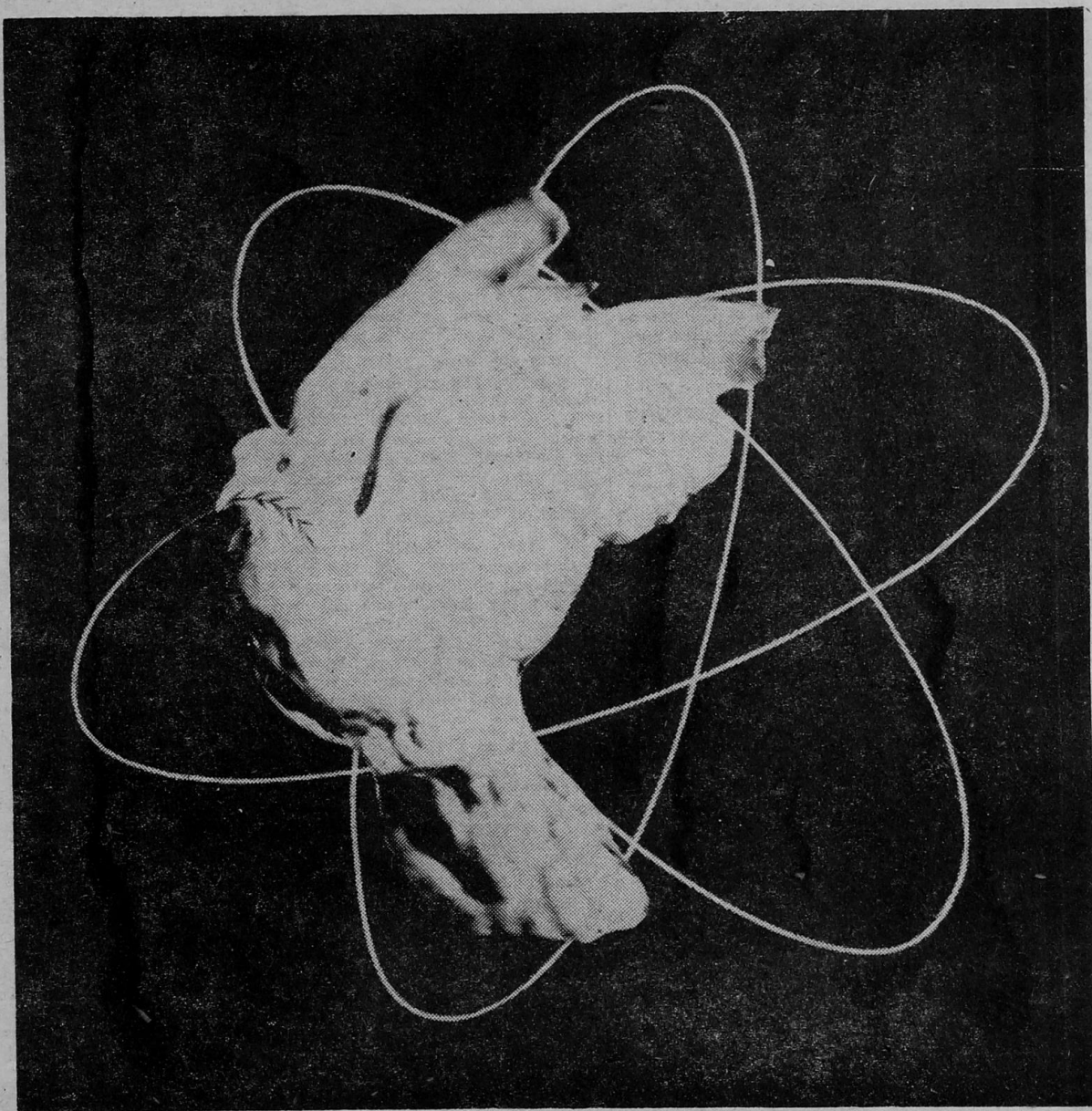
**MARZENIA  
NA  
STARCIE 14**

# KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

**4**

KONTAKTY  
20.VII.80  
CENA 4 zł



Z okazji Święta  
Odrodzenia Polski  
— Czytelnikom  
i Przyjaciółom  
naszego pisma  
— bardziej  
pogodnych dni  
oraz 1001  
pożytecznych  
osobiście  
i społecznie  
kontaktów  
życzy redakcja

**22  
lipca**

## Świadectwo urodzenia

OPRACOWAŁA  
STEFANIA HENCZEŁOWA

„Kochani Synowie!

Donoszę Wam, że dzisiaj dn. 21.VII.44 muszę z Wami się poze-  
gnąć.

Nie potrzebujecie do mnie więcej pisać, gdyż kiedy list ten otrzy-  
macie, ja już żyć nie będę.

Kochany Jasiu uważaj na młodsze rodzeństwo, żeby nie popadło  
w złe towarzystwo, gdyż oni już nie mają rodziców.

A więc moje kochane dzieci bądźcie zdrowi.

Wasz Ojciec.”

Słowa te napisał w przeddzień śmierci kapral Józef Dawid, szef zaopatrzenia III kompanii V pułku piechoty AK, aresztowany przez Niemców w Brzozówce k. Kadzidła w listopadzie 1943 r. i skazany wyrokiem sądu specjalnego SS na Die-  
strieht Ciecchanów. Wyrok wykonano 22 VII 1944 r. przez ścięcie na gilotynie. Jego najstarszy syn, Jan zginął w Stuthofie, aresztowany w pobliżu Ostrołki, bowiem zamiast zaopiekować się młodszym rodzeń-

stwem — uczestniczył w uwalnianiu więźniów wespół z partyzanckim oddziałem Mikołaja Turkowa. Po udanej akcji w Ostrołce — zamiar uwolnienia więźniów łomżyńskich nie powiódł się.

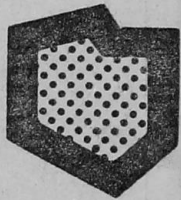
Wyzwalanie Białostoczczyzny trwało kilka miesięcy; do końca roku 1944 pod okupacją niemiecką pozostawała północna część powiatu łomżyńskiego, cały powiat grajewski o-

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5

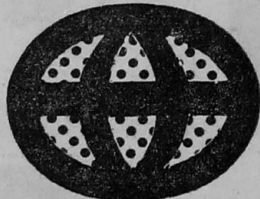




**AREAL ZBOŻ** jest w Łomżyńskim obecnie o 4 tysiące hektarów większy niż w roku ubiegłym. Według aktualnych ocen — stan upraw, chociaż kształtuje się poniżej wieloletniej średniej, jest jednak lepszy niż w roku 1978. Uzyskanie jak najlepszych plonów zależy w decydującej mierze od gotowości maszyn i sprzętu rolniczego, od sprawności organizacyjnej gospodarstw ogniw związanych z gospodarką żywnościową. Na posiedzeniu Egzekutywy KW PZPR stwierdzono, że stan przygotowań do zniw jest bardzo dobry — gotowość maszyn rolniczych jest wysoka (oprócz ciągników, których aż 13 proc. jest jeszcze niesprawnych). Niepokój wywołują braki niektórych części zapasowych — w szczególności sznurków do wiązałek oraz ogumienia do ciągników. Weryfikacji wymagają zamówienia na prace wykonywane przez SKR-y; chociaż do pełnego wykorzystania posiadanych przez nich sprzętu brakuje zleceń na obszar 6300 hektarów, to w przypadku wiązalek zapotrzebowanie przekracza ich możliwości o 34 proc. (podczas gdy kombajny wykorzystane byłyby zaledwie w połowie). Nad sprawnością sprzętu rolniczego w województwie będą czuwały podczas zniw 64 brygady remontowe i 31 punktów pogotowia technicznego.



**Z WYSTĄPIENIA EDWARDA GIERKA** na naradzie aktywów partyjno-gospodarczych w KC PZPR: „Zdajemy sobie sprawę ze wzrostu kosztów utrzymania. [...] Nie jest jednak rzeczą możliwą całkowite jego wyeliminowanie. Musimy zatem rekompensować chociaż częściowo wzrost kosztów utrzymania szczególnie tym, którzy znajdują się w najtrudniejszej sytuacji. [...] Chcielibyśmy rozwiązać w I półroczu przyszłego roku cztery problemy: po pierwsze — zwiększenie dodatku rodzinnego — w taki sposób, aby w większym niż przeciętny stopniu polepszyć sytuację rodzin wylodzonych; po drugie — uważamy za konieczne przejść z większą niż dotychczas pomocą matkom samotnie wychowującym dzieci; po trzecie — widzimy pilną potrzebę podwyższenia rent i emerytur z tzw. starego portfela; po



**ZWIĄZEK RADZIECKI** zaproponował na wiedeńskich rokowaniach w sprawie redukcji sił zbrojnych w Europie Srodkowej ograniczenie swoich wojsk w tym rejonie o 20 tysięcy żołnierzy, w zamian za wycofanie z Europy 13 tysięcy żołnierzy amerykańskich. Wraz z realizacją jednostronnej decyzji ZSRR o wycofaniu 20 tysięcy żołnierzy z terenu NRD, siły radzieckie zmniejszyłyby się łącznie o 40 tysięcy osób. Nowa oferta socjalistyczna ma na celu ruszenie z martwego punktu rokowań wiedeńskich.

**PODZAS UROCZYSTOŚCI** pogrzebowych zmarłego w ub. m. premiera Japonii, Ohiry, doszło do spotkania prezydenta USA i przewodniczącego KC KPCh, Jimmy Carter i Hua Kuo-feng wyrazili

Egzekutywa KW zajęła się również gospodarką komunalną i drogownictwem. Odnotowując postęp w ciepłownictwie i ochronie środowiska — zwróciła uwagę na niedostatki w zaopatrzeniu w wodę Łomży i Kolna, rozwoju ciepłownictwa w Zambrowie, w dziedzinie wodociągów na wsi, poprawy usług komunalnych i usprawnienia ruchu drogowego w miastach. Jakkolwiek nakłady inwestycyjne w tej dziedzinie są o 11 proc. większe niż zakładano na całe 5-letnie, to nie uzyskano między innymi zakładanego tempa zwiększenia robót inżynierskich.

**DELEGACJA WOJEWÓDZTWA ŁOMŻYŃSKIEGO** wzięła udział w uroczystych obchodach 40 rocznicy ustanowienia władzy radzieckiej na Litwie i wstąpienia Litewskiej Socjalistycznej Republiki w skład Związku Radzieckiego.

**NAJWIĘKSZE ZAINTERESOWANIE** pracą organów samorządu mieszkańców odnotowano w Zambrowie, Kolnie i Grajewie. Natomiast w Łomży aż 8 zebrań w komitetach domowych musiało powtórzyć z powodu zbyt niskiej frekwencji. Przebieg kampanii wyborów samorządowych, która trwała od 1 maja do 30 czerwca br. był przedmiotem obrad Prezydium Wojewódzkiego Komitetu FJN w Łomży. Wybrano 1110 członków organów samorządowych, którzy będą działać w 142 komitetach, powołanych w 12 miastach województwa.

**NA 64 OBOZACH**, koleniach i zgrupowaniach wycieczają w województwie łomżyńskim dzieci i młodzież. Codziennie na szlakach turystycznych znajduje się 18 obozów wędrownych, a wycieczek z pracą naukową łączy 380 studentów warszawskich uczelni. Ocena prze-

czwarde wreszcie — mimo iż sytuacja gospodarcza nie pozwala obecnie na jakiegokolwiek szersze podwyżki plac, niezbędne jest podniesienie plac najniższych”.

**PREMIER BULGARII**, Stanko Todorow, przebywał z dwudniową, roboczą wizytą w Polsce.

**W WIEKU 84 LAT** zmarł w Warszawie gen. broni Zygmunt Berling, jeden z głównych organizatorów Ludowego Wojska Polskiego. Był on pierwszym dowódcą I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, która rozdzielił w bitwie pod Lenino.

**NA POŁ ROKU** przed terminem ruszyła „Halemba-Głęboka”, nowy obiekt polskiego górnictwa. Po raz pierwszy w Polsce wydobywa się tam węgiel z poziomu poniżej 1000 metrów. W roku 1985 będzie się tu „fedrować” dziennie 10 tysięcy ton węgla.

**FALA ULEWNYCH DESZCZÓW**, połączonych z wichurami, spowodowała w ubiegłym tygodniu ogłoszenie alarmu lub pogotowia powodziowego w 14 województwach. Najtrudniejsza sytuacja powstała na Dolnym Śląsku i Pomorzu. Pod wodą znalazły się pola uprawne; zniszczyła ona także wiele budynków, mostów i kładek; poważne zakłócenia wystąpiły w łączności

zadowolenie z szybkiego procesu pełnej normalizacji stosunków amerykańsko-chińskich. Zachodni komentatorzy podkreślają identyczne lub bardzo zbliżone stanowisko obu przywódców wobec najważniejszych problemów światowych oraz piszą wręcz o tworzeniu się atmosfery sojuszu na linii Waszyngton—Pekin.

**PODZAS SWEJ NAJDŁUŻSZEJ** podróży zagranicznej dopokąd Jan Paweł II zaplanował o dokonaniu niezbędnych reform społecznych w Brazylii. Wezwał on polityków, by „czynili wszystko aby przepaść dzieląca nadmiernie bogatych [...] od wielkich rzesz żyjących w nędzy nie pogłębiała się, ale się kurczyła, i by to prowadziło do równości społecznej, tak, by zastąpić nierówny podział dóbr podziałem sprawiedliwym. Tylko systemy oparte na sprawiedliwości społecznej mają prawo do istnienia” — stwierdził papież. W swej ostatniej homilii wyraził poparcie dla słusznych postulatów Indian, domagających się ziemi.

**PONAD JEDNA TRZECIA** mieszkańców EWG uważa za możliwy wybuch wojny w Europie w najbliższym dziesięcioleciu. Największymi pesymistami są Francuzi, z których połowa uważa, że wybuch

biegu akcji letniej była przedmiotem spotkań kierowników placówek wypoczynkowych ze sztabem akcji, którego przedstawiciele zapoznali się także z warunkami pobytu, działalnością i inicjatywami społecznymi uczestników kilku obozów i kolonii.

**NAJWIĘKSZY PROBLEMEM** w dziedzinie ochrony środowiska naturalnego człowieka w Łomżyńskim jest gwałtowny wzrost zanieczyszczeń Narwi i jej dorzecza. Wzrastające zagrożenie ekologiczne niesie z sobą przemysł. Nad środkami zaradczymi obradowali technicy i inżynierowie województwa na zorganizowanym w Łomży, sympozjum naukowym.

**POPRAWA WARUNKÓW** sanitarnych, zwiększenie ładu porządku w województwie było tematem 260 prelekcji i pogadanek, jakie w br. przeprowadziła służba medyczna w 149 kołach gospodyń wiejskich. Wzięło w nich udział — jak dokładnie obliczono — 4500 kobiet.

**EUGENIA OLSZEWSKA** z Tymiszy Kuniewa (gmina Boguty) otrzymała I nagrodę na, zorganizowanym w Łomży, ogólnopolskim konkursie „Ludowe i artystyczne rękodzieło wsi”. Jej piękne wzory tkanin będą zaprezentowane, wraz z innymi nagrodzonymi pracami, na ogólnopolskiej wystawie podczas dożynek w Zamósciu.

**KOMENDA WOJEWÓDZKA MO** w Łomży prosi właścicieli fiatów 125 p, którym skradziono w ostatnich dwóch miesiącach się i akumulatory, o zgłoszenie się do Wydziału Dochodzeniowo-Sledczego KW MO, pokój nr 125 (lub telefonicznie: 52-71, wewnątrz 225).

oraz w dostawach prądu elektrycznego. W akcji ratunkowej wzięło udział wojsko i straż pożarna.

**TRWAJĄ OSTATNIE** przygotowania do rozpoczęcia pierwszego odwiertu naftowego pod dnem Bałtyku — w odległości 26 mil na północ od Rozewia. Wkrótce zostanie osadzona jedna z najnowocześniejszych na świecie platform wiertniczych, zakupiona przez „Petrobratlic” w Holandii.

**W 570 ROCZNICĘ** zwycięstwa pod Grunwaldem oraz w 60-lecie plebiscytu na Warmii i Mazurach — na polach grunwaldzkich odbyła się patriotyczna manifestacja. **SKUP ŻYWCA** rzeźnego w maju br. był o 5,5 proc. niższy niż w maju ub. r.; szacuje się, że w całym półroczu będzie on mniejszy o 2—3 proc.

**W LASACH 16 WOJEWÓDZTWA** (500 tysięcy hektarów, głównie na północy kraju) zakończono akcję zwalczania groźnego szkodnika drzew iglastych — brudnicy mniszki. Wzięło w niej udział 60 samolotów i śmigłowców. Przez dwa tygodnie obowiązuje zakaz wstępu na te tereny.

**OKRES REALIZACJI** bonów cukrowych wydawanych na lipiec i sierpień, został przedłużony do końca września br.

wojny jest prawdopodobny lub pewny. Dane te „Przegląd” hamburski tygodnik „Der Spiegel”.

**PREZYDENT FRANCJI** podczas swej wizyty w RFN przebywał w Bawarii gdzie spotkał się z przywódcą CSU, kandydatem chadecji na stanowisko kanclerza, Franzem Josefem Strausssem.

**W IRANIE** udaremniono próbę zamachu na wojskowego. Spiskowcy zamierzali wzbombardować rezydencję ajatollaha Chomeiniego.

**DO ZURYCHU** przybył chory zakładnik amerykański, którego studenci irańscy uwolnili na polecenie ajatollaha Chomeiniego.

**PRZEDSTAWICIEL AMBASADY ZSRR** w Iranie oświadczył, że — według posiadanych informacji — wrogie Związki Radzieckiemu elementy zamierzają dokonać prowokacyjnych akcji przeciwko ambasadzie ZSRR, aż do jej zajęcia włączanie.

**RADZIECKO-WIETNAJSKA** załoga kosmiczna została przygotowana do wspólnego lotu.

**INDIE UZNAŁY** Radę Rewolucyjną Ludu Kampucezy, to jest komunistyczny rząd Henga Samrina, i oznajmiły, że nawiążą z nim bezwzględnie stosunki dyplomatyczne.

# dwa tyki ekonomiki



## W KULUARACH

— Szybko przegłosowali. Kilka godzin debaty, kilkanaście krótkich wystąpień poselskich, i już gotowe absolutorium dla rządu oraz uchwała o zadaniach na rok bieżący. Co to za parlament? Gdyby tak w moim imieniu poseł wszyskiego wygarnął!

Te uwagi usłyszałem od swojego znajomego, od lat będącego już na zasłużonej emeryturze. Ten sympatyczny pan (w czterdziestym piątym dziesiątym — obszarze ziemi, a potem wyjechał na ziemie zachodnie jako pełnomocnik ówczesnej komisji do walki ze spekulacją) do dziś przykłada miarę burżuazyjnego parlamentarizmu do naszych czasów.

Sam osobiście organu przedstawicieli dość uważnie. Bywa, że przysłuchuję się obradom z tzw. dziennikarskiej łoży. Ale nie to mnie pasjonuje. Miałem okazję przysłuchiwać się obradom bardziej kameralnym. Nie na tej wielkiej, półokrągłej, znanej nam z przekazu telewizyjnego sali, ale w mniejszych zespołach, którym na imię: komisje sejmowe. Polecam lekturę dziennikarskich relacji z tych obrad.

Chociażby niedawno, przed czerwową sesją plenarną Sejmu, przez wiele tygodni na długich posiedzeniach pracowały komisje sejmowe i międzykomisyjne zespoły problemowe. Nie prawiono tam komplementów, nie było pięknych słówek. Pod adresem resortów, Komisji Planowania, władz różnych szczebli, padły ostre słowa krytyki; żądano wyjaśnień, ustosunkowania się do spraw, które stanowiły bolączki naszego dnia codziennego — zaniedbań w budownictwie mieszkaniowym, niedorozwoju energetyki, transportu, łączności, braku w zaopatrzeniu rynku.

Właśnie tam, w komisjach sejmowych, koncentruje się praca naszego parlamentu.

To właśnie w trakcie wielotygodniowych, zmuśnych prac komisji wypracowany został dokument, który uchwalił Sejm na czerwowym posiedzeniu, wytyczający kierunki zmian w gospodarce. Kierunki, podkreślam, niezbędne i konieczne dla zagwarantowania harmonijnego rozwoju kraju, złagodzenia występujących napięć.

Do treści sejmowej uchwały przyjdzie nam niejednokrotnie wrócić. Na początek zasygnalizuję to, co — moim zdaniem — jest najistotniejsze: ustalenie zadań gospodarczych, intensyfikację szczególnego nacisku na intensyfikację eksportu. Być może tegoroczny bilans gospodarczy zamkniemy wynikami niższymi o parę procent niż uprzednio planowano, ale to, co zaplanujemy i przyjmujemy do realizacji, musi być wykonane bez zaległości, bez zaslaniania się trudnościami, których na pewno będzie nie mało.

Uchwala kładzie nacisk na podniesienie efektywności gospodarowania, a to oznacza konieczność spotęgowania wysiłków w dziedzinie obniżki kosztów produkcji, podniesienia wydajności pracy, oszczędniejszego gospodarowania surowcami, materiałami, energią.

Podkreśla jednak, iż nawet najlepsza uchwała sama przez się sprawę nie załatwi. Poprawa gospodarowania musi być sprawą powszechną. Sejm wytyczył kierunki — pora na konkretne działania. Wszędzie.

Jerzy Bielecki

zdarzenia

# Kontakty kontaktów

Po pierwszy numer „Kontaktów” sięgnąłem z przekonaniem, że na pewno nie będzie w nim nic nowego, jak tylko przedruk wodnistych sprawozdań z mniej lub więcej ważnych konferencji i spotkań. Zostałem miłe zaskoczony. Zupełnie nowy sposób redagowania. Treść pisma niezwykle otwarta i szczerą. Po przeczytaniu numeru „od deski do deski”, byłem bardzo zadowolony, a zarazem dumny, że to właśnie na naszej Ziemi Łomżyńskiej może ukazywać się takie czasopismo. Przepraszam więc Zespół Redakcyjny „Kontaktów” za brak zaufania w Wasze możliwości. Jednocześnie życząc tygodnikowi długich lat istnienia i popularności, a Redakcji wytrwałości w kontynuowaniu podjętego dzieła oraz zadowolenia i satysfakcji z pracy. Oby jak najwięcej czytelników w tym piśmie właśnie znalazło powiernika swoich smartwieni.

W dowód uznania dla Redakcji „Kontaktów” wytyczyłem swój umysł i stworzyłem taki oto utwór „wierszopodobny”:

Zdzierajcie swe pióra  
Reporterskie dokładnie,  
Piszcie nam o wszystkim —  
Co Wam w uszy wpadnie.  
O aurze i florze,  
O diabelskiej swawoli,  
O życiu codziennym —  
O tym co nas boli.  
Gospodarcze problemy,  
Polityczne fakty,  
Takie nam się, widzą,  
Łomżyńskie „Kontakty”.

**STANISŁAW TARNACKI**  
Wąsosz

Na Wasz tygodnik nie mogłam się doczekać. Lecz muszę przyznać, że jestem zawiedziona i zaskoczona. Po przeczytaniu pierwszego numeru myślałam, że to nieporozumienie i w następnych numerach tego nie będzie. Chodzi mi o ostatnią stronę. Pana Andrzeja Koziańkę powinno zamknąć się w Choroszcy lub Tworkach i dobrze pilnować żeby nie uciekł! Wypisywać takie bezczeszczenia publicznie! Pisać o diabłach, gwałtach itp. Trzeba nie mieć wstydu. Przecież Wasz tygodnik czytują dzieci i młodzież. Jaki przykład! Wystarczająco dużo o tych świństwach można przeczytać w innych gazetach. W każdej zdjęciu roznegliżowanych kobiet. W telewizji również. Jak wychowywać młodzież, skoro publicznie pisze się i pokazuje takie rzeczy. Miałam nadzieję, że nasz tygodnik będzie od tego wolny.

**WANDA GAWRYSIAK**  
Łomża

Jako długoletniemu higienistce i wieloletniemu już lekarzowi ogromnie podoba mi się zawarta w pierwszym numerze tygodnika deklaracja, szczególnie zaś zwrócenie w niej uwagi na sprawy kultury dnia codziennego i piękna w środowisku człowieka. Z tych względów, nie wdając się w opisy, bardzo proszę szanowną Redakcję o obejrzenie przynajmniej dwóch obiektów, a mianowicie: ustępu podwórkowego w nieruchomości przy ulicy Sienkiewicza 10 i ustępu podwórkowego przy ulicy Sadowej. Jak to się dzieje i dlaczego w tak pięknej Łomży od lat istnieją punkty niechlujstwa i kompletnego zaniedbania obok piękna, bo taki jest front kamienicy przy ul. Sienkiewicza 10 i wielkiej kultury materialnej, jaka jest katedra?

**Dr STANISŁAW SWITAL**  
Warszawa

Gratulacje i najlepsze życzenia z okazji wydania pierwszego numeru tygodnika! Niech służba rozwojowi ziemi łomżyńskiej przynosi coraz więcej satysfakcji i zadowolenia zespołowi redakcyjnemu, a mieszkańcom tej ziemi coraz więcej wszelkich pożytków.

**LESZEK JUCEWICZ**  
zastępca Red. Nacz.  
„Zagadnień i Materiałów”  
Warszawa

Zarząd OSP w Kuczynie zaprosił „Kontakty” na uroczyste otwarcie remizo-świetlicy w Kuczynie, które odbyło się 13.07. Dziękujemy.

— Ten, co wymyślił zegarek, musiał być mądry, okrutnie mądry. Weźmy, na przykład, tego starego „prusaka” z herbem na kopercie...

Zaskoczyło mnie to zdanie, jak dziewczynkę z opowiadki Woltera, która trzymana w domu przez ileś lat, spytała koleżankę: więc ty też masz pięć palców u każdej ręki, tak samo, jak ja? Gdybym usłyszała je od kogoś, kto dziwi się wszystkiemu, co się kręci — zdanie to byłoby zwyciężajne. Oklepane nawet. Ale jeśli coś takiego mówi Józef Bikowski, który przez trzydzieści trzy lata, od godziny szóstej rano do szóstej po południu, ogląda kręcące się kółka, to musi zasługiwać na uwagę.

Czas! Od milionów lat człowiek marzył o trzech rzeczach: żeby latać, pływać i oderwać się od czasu! Od przemijania. A ponieważ było to niemożliwe, zaczął mierzyć przemijanie. Najpierw cieniem kija wsadzonego w ziemię, potem świecą z podziółka, klepsydrą piaskową, wreszcie — woda. Z czasem na stolikach i kominkach pojawiły się zegary z brązu, srebra, porcelany, kryształowe. Wiele z nich można teraz zobaczyć w zakładzie zegarmistrzowskim Józefa Bikowskiego.

— Zaraz po wojnie takie zegary za bezcen można było dostać. Ale człowiek był głupi. Myślał: na co tyle? Przed wojną tylko ksiądz, wójt i komendant według zegarków żyli. Prosty ludzi do pracy syrena albo

Józiu, ile tych małych? Bo to, wie pani, jak się zejdą wszyscy... Cały dom pelen. Chociaż dzieci na swoje już poszły i tylko z żoną to mieszkanie przy zakładzie mamy. To będzie tak: u Józia dwóch synów, u Staśka też dwóch, u Ignaca dwie córki, u Joanny syn i córka. Tylko Joanna z mężem mieszka poza Łomżą, w Nowym Mieście. Zięć kończy Akademię Rolniczą w Olsztynie. Ale pewnie też zjadą. A wnuki to tak do mnie przyzwyczajone! Wnuczka, od tej córki, co w Olsztynie jest, odjeżdża: „Pojeździsz — mówię — dziadka zostawisz?” I robię smutną minę. A ona zmyślnie na mnie patrzy, podnosi palec i mówi: „Nie martw się, dziadziuś, ja będę dzwonić do ciebie”. Wszyscy w rodzinie pracują, to i nieźle im się powodzi. Kiedyś, wie pani, biedniej było, ale weselej. Jak na przykład przypominę sobie młode lata...

Tatuz mieszkał przy świńskim rynku. Ludzie do siebie przychodzili, gawędzili wieczorami, pośpiewali do późnej nocy. A przy żelaznym moście tańce różne były. Co teraz? Nad rzeką śmietnik, że i pójść tam człowiek nie ma ochoty.

Pyta pani, ile zegarków w życiu zreperowałem. Kto to wie? Jak myślisz, Józek — Bikowski pyta syna — dziennie naprawię może z siedem? Przez dwadzieścia pięć dni w miesiącu i trzydzieści trzy lata to będzie... dużo. Weźmie pani kartkę: prawie siedemdziesiąt tysięcy? No,

Od małego w zakładzie przesiadywałam. Patrzyli, uczyli się. Będą z nich majstry — myślałam. Aż Józef mówi kiedyś, że do Łodzi pojedzie do szkoły. Jedź — mówię. A jakże, trzy lata uczył się na operatora ciężkich maszyn. Świadectwo dostał. Ale czy to za ciężkie maszyny były, czy za głośne... Dość, że mu się nie podobało i wrócił. Do warsztatu.

Ignacy najpierw do PKS-u poszedł, na wykwalifikowanego mechanika silników spalinowych się wyuczył. Świadectwo dostał. I też do zakładu wrócił.

Jak kto raz w te kółka, trybiki spojrzy, to już przepadł. Wciągną go. Wszyscy synowie u mnie się uczyli. Najstarszy, Staslu, zakład miał u mnie. I Józiu przez dwa lata. I Ignacy. A teraz najmłodszy Krzysztof. Ale już też chce wyfrunąć. No, cóż. Tu, w tej klitce, miejsca dla dwóch majstrów za mało.

Syn Józef, choć się na złotnika przekwalifikował, przez osiem lat pracował jako zegarmistrz i do dziś każdy zegar naprawi. — Ojciec dobrze uczył — tłumaczy. — Najpierw: „Patrzcie, jak się kiedyś robiło”, mówił. To była dobra szkoła. Dziś nie każdy nauczyciel zawodu przedwojenny zegarek naprawić potrafi. A my umiemy.



## serce na włosku

gong wolały. Ojciec mój też był zwykłym człowiekiem, furmanem, potem sobie dryndę kupił. W roku 1946 rodzice umarli. Zostałem sam. Chciałem iść do jakiejś szkoły, żeby te brakujące klasy uzupełnić. Ale przychodziło, patrzyłem, dzieciaki siedzą w ławkach. A ja chłop pod wasem, to i wstyd. Trzeba było znaleźć coś innego. Tylko rzemiosło pozostało. Kiedyś, włócząc się po rynku, kupiłem zepsuty zegar. I tak się zaczęło. Popatrzyłem, pomyślałem i zacząłem reperować. Bez majstra nie da rady — powiedziałem sobie. Podeszedłem do starego Wachowskiego, tego, co przed wojną i po wojnie najlepszy zakład zegarmistrzowski w Łomży prowadził. I zostałem u niego z tym zegarem. Potem pracowałem z jego synem, zanim inżynierem został. Pierwszy własny zakład założyłem tu, na Giełczyńskiej. Na rogu, po drugiej stronie, miałem drewnianą budkę. Potem przeniósłem się na Długą, wreszcie do hali targowej na rynku. Aż na koniec znowu wróciłem na Giełczyńską.

Ożeniłem się w osiemnastu latach. Przyszły dzieci. Ani się obejrzałem, a już i wnuki są w domu.

no. To jak bym każdemu w Łomży, z niemowlakami razem, że dwa razy zegarek naprawi.

Jakich ja już zegarków nie robiłem — omegi, cylindry, przedwojenne budziki z dwoma dzwonkami, kukulki, niemieckie, szwajcarskie, ruskie. Niby różne, a takie same. W każdym sprężyna popycha układ werkowy. A włos rozrzut czasu daje — sercem rządzi. Zatrzymasz balans i... serce staje. Jak chcesz, żeby znów chodził, to musisz nakręcić i wskazówki o parę minut czy godzin przesunąć. W zegarku nie może być manka. Miałem kiedyś ucznia. Wieczorami do mnie przychodził, bo w dzień inną robotą się zajmował. A miał chyba czterdzieści pięć lat. Bardzo go do tych zegarków ciągnęło. Potem poszedł do Białogostku. Zdał egzamin czeladniczy, mistrzowski, kursy potrzebne skończył. Aż kiedyś patrzył, a on w komisji Izby Rzemieślniczej zasiada i innych do fachu przyjmuje! On też swój czas — ten, który był mu pisany — nadrabiał.

Jak się stało, że synowie na zegarmistrzów poszli? To cała historia.

Nad głową w warsztaciku mistrza wiszą obok siebie świadectwa czeladnicze ojca i synów oraz — przyznany mu przed paru laty przez Izbę Rzemieślniczą, jedyny chyba w Polsce dowód uznania — „Dyplom za wyszkolenie trzech synów w zawodzie zegarmistrzowskim”.

— Już czterech, proszę pani, czterech! A wnuki też mam udane. Chłopak Józia ma pięć lat, a już potrafi budzik, taki tani, „na buksach”, naprawować.

Pan Józef z tolerancją patrzy na nowinki — na zegary elektroniczne, kwarcowe, z cyframi zamiast wskazówek.

— Ładne są. Dobrze pokazują czas. Ale takich ze sprężynowym sercem nie zastąpią, bo człowiek daje sprężynie życie, nakręcając ją co dnia.

**TERESA POLECKA**

co u państwa słychać?



10 LISTOPADA 1944 r.  
SPRAWOZDANIE KIEROWNIKA  
WYDZIAŁU OGÓLNEGO RESORTU  
INFORMACJI I PROPAGANDY ZA  
PAŹDZIERNIK 1944 r.

2) Działalność. Centralnym zagadnieniem w miesiącu sprawozdawczym była reforma rolna. Cały aparat organizacyjny Resortu Informacji i Propagandy szedł po linii wykonania reformy rolnej w trybie przyspieszonym. W tym celu Wydział ogólny delegował do prac związanych z reformą rolną 70 absolwentów kursu propagandystów, którzy wespół z brygadami robotniczymi na całym terenie wyzwolonego kraju odbywali masówki i zebrania informacyjne dla robotników rolnych i chłopów i wespół z brygadami pod kierownictwem pełnomocnika przystąpili do reformy rolnej. Akcja propagandy-

teratury prawniczej 12. Z biblioteki korzysta codziennie przeciętnie 21 osób, spośród pracowników różnych resortów PKWN, Biura Ekonomicznego, Biura Prawnego PKWN IKRA, Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej, Banku Polskiego, Urzędu Wojewódzkiego oraz Prokuratury Generalnej. Ogółem w listopadzie z biblioteki korzystało 460 osób."

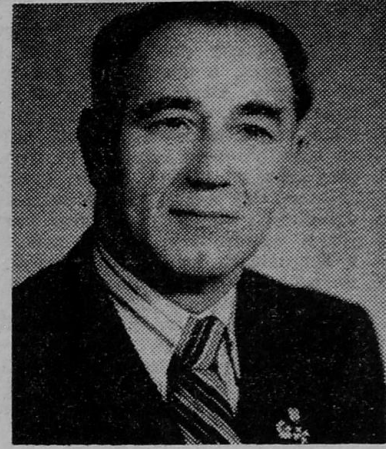
HENRYK MAJECKI w wspomnianej monografii stwierdza: „PRN w Łomży powstała dopiero 22 grudnia 1944 r. Jej siedzibą było miasto Zambrów. Proces tworzenia organów władzy ludowej został zakończony w grudniu 1944 r. w powiatach: Białystok, Sokółka, Bielsk Podlaski oraz Wysokie Mazowieckie i w mieście Białymstoku. Trwał on natomiast w powiatach: Łomża, Augustów i Suwałki, wyzwolonych

W niektórych gminach jest zupełnie niemożliwe zebrać kontyngenty, gdyż każda grupa powołana w tej sprawie jest rozbrajana i terroryzowana."

WYDZIAŁ SPOŁECZNO-POLITYCZNY ZARZĄDU WOJEWÓDZKIEGO BIAŁOSTOCKIEGO pisał do Ministerstwa Administracji Publicznej w dniu 21 II 1947 r.: „W ostatnich czasach na terenie powiatu łomżyńskiego stan bezpieczeństwa znacznie się pogorszył. Prawie codziennie dokonywane są napady na Zarządy Gminne i Miejskie, gdzie demolowane są lokale, sprzęt, akta, portrety dostojników Państwowych itp.

Miejscowe organa BP i MO nie mogą skutecznie reagować ze względu na brak odpowiedniej obsady i środków lokomocji.

Jak stwierdzają załączone mel-



### Nie tylko pamięć

Prezes Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD-u, komendant KW MO, ptk Stefan Sokołowski: — 22 Lipca uczestnikom walk z okupantem hitlerowskim i o utrwalenie władzy ludowej przywodzi na myśl pamiętne zdarzenie sprzed 36 lat. Na pierwszym skrawku wyzwolonej ojczyzny proklamowana została polska władza. Nasza ojczyzna, która miała być starta z mapy przez zbrodniczy faszyzm, wracała do życia. Trudna i pełna krwi była jeszcze droga do 9 maja, kiedy wszyscy świętowaliśmy Dzień Zwycięstwa. Najważniejsze jednak było to, że Polska się odrodziła. Może nie taka, jakby wszyscy wtedy tego chcieli. Pamiętam, jak wiadomość o utworzeniu PKWN dotarła do aelowskich szeregów w końcu lipca, tuż po powstaniu „partyzanckiej republiki pińczowskiej” nad Nidą. Radość nasza była wielka. Ale mogliśmy też zauważyć, że jak mieszanymi uczuciami przyjęli to oficerowie oddziału AK, który stacjonował w tym samym budynku, co my: oni na parterze pałacu margrabiego Wielopolskiego w Chrobrzu koło Pińczowa, a nasza kompania i brygada AL Ziemi Krakowskiej — na piętrze. Dziś tamte podziały zatrącały się, a fakt bliskiego sąsiedztwa może urastać do symbolu.

Wolna Polska to dzieło wszystkich patriotów, którzy byli gotowi za nią zapłacić ceną najwyższą — własnym życiem. Święto Odrodzenia jest szczególną okazją, by o tych wszystkich ludziach wspomnieć. Pamiętamy jednak o nich i na co dzień. Świadczą o tym tablice pamiątkowe czy imiona poległych żołnierzy i członków MO i SB, nadawane szkołom.

Pamięć o bohaterskich walkach i poświęceniu patriotów przekazywana jest na spotkaniach kombatanatów z uczniami. Żywa tradycja stanowią izby pamięci narodowej w szkołach. W województwie łomżyńskim w trzydziestu takich izbach zgromadzono pamiątki, militaria i przekazy z okresu walk o Polskę.

Polska Ludowa troskliwą opieką otacza wszystkich kombatanatów. Obecnie w szeregach ZBoWiD-u znajduje się 650 tysięcy członków. Organizacja kombatancka Łomżyńskiego liczy 5221 osób. Mimo iż od okresu walk minęło wiele lat, nadal wiele osób ubiega się o przynależność do niej. Tylko w ubiegłym roku chcę taką zgłosiło 380 osób. Z powodu trudności w udokumentowaniu swej działalności w ruchu oporu nie przyjęto tylko 25 kandydatów.

Wiele uwagi organizacja ZBoWiD przykłada do zapewnienia jak najlepszej opieki i pomocy dla kombatanatów. Tak np. w roku 1979 — 368 kombatanom łomżyńskim przyznano bezzwrotne zapomogi pieniężne w wysokości 645 tysięcy złotych; 61 otrzymało rentę. Coraz ważniejszą rangę uzyskują sprawy ochrony zdrowia członków ZBoWiD-u. Ostatnio utworzono w przychodni lekarskiej przy Urzędzie Wojewódzkim poradnię, w której przyjmowani są nasi członkowie przez wyznaczonego specjalistę. Również wszystkie placówki służby zdrowia na terenie województwa zobowiązane są do przyjmowania kombatanatów poza kolejnością.

Wszystkie działania podejmowane przez łomżyńską organizację kombatancką mają za cel zwiększenie opieki i odbałości o ludzi, którym nasza ojczyzna ma szczególnie wiele do zawdzięczenia.

Opracowała  
STEFANIA HENCZEŁOWA

Opracował M. R.

# urodzenia

stów wydała poważne rezultaty. Obserwacje ich i meldunki zorientowały Resort Informacji i Propagandy o niektórych wypaczeniach w przeprowadzaniu reformy rolnej i dały możliwość wierną analizę terenu. Na podstawie tych meldunków Resort interweniował w Resorcie Bezpieczeństwa w sprawie [...] zlikwidowanie antypaństwowej akcji AK na terenie niektórych powiatów."

„Dział personalny. [...] Obecnie pracuje w Resorcie 158 pracowników. W miesiącu październiku r.b. z Resortu Informacji i Propagandy skradziono dwa samochody osobowe typu »Willys«. Stan środków lokomocji jest niewystarczający. Organizacja terenu i prowadzenie planowej pracy propagandowej jest z tego powodu utrudniona."

„VII. Wydział Propagandy Masowej. [...] Stan osobowy Wydziału zasadniczo się nie zmienił. Zwolniono jedną sekretarkę za nie wywiązywanie się z zadań i lenistwo. [...] Wyjazdy stałych pracowników Wydziału w teren są mocno utrudnione z powodów materialnych — ubranie, palta, buty itd."

„II. Wojewódzkie Wydziały Infor-

racji i Propagandy. [...] częściowo spod okupacji niemieckiej."

30 GRUDNIA 1944 r.  
SPRAWOZDANIE  
Z DZIAŁALNOŚCI RESORTU  
I HANDLU.

„Dział Wojskowych Świadczeń Rzeźcowych i Zakupów. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego zastał na wyzwolonych terenach sytuację, którą należałoby określić jako wyjątkowo ciężką. Nie było żadnych zapasów towarowych. Składy świeciły pustkami. Jednym z pierwszych zarządzeń Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego było zarządzenie o obowiązkowych dostawach zboża, ziemniaków, mięsa, owsa, siana i mleka. W dalszym ciągu wydano zarządzenie o obowiązkowych dostawach olejnych i strączkowych. Następnie zarządziłyśmy obowiązkowe dostawy skór surowych, wełny i roślin włókienniczych oraz zagospodarowałyśmy przedsiębiorstwa produkujące tłuszcz roślinny. W ten sposób stworzyliśmy podstawy dla zaopatrzenia Armii i ludności cywilnej w podstawowe artykuły żywnościowe.



Pracownicy PUBP w Łomży — rok 1955

macji i Propagandy. 3. Białystok. [...] W Białymstoku urządzono 7 października 1944 potężną manifestację ekshumacji i pogrzebu powieszonych przez Niemców trzech robotników z fabryki »Sokół« [...] z udziałem 10 000 uczestników. W okresie sprawozdawczym zorganizowano nowe referaty powiatowe w Łomżyńskim i Wysoko-Mazowieckim. [...] w powiecie białostockim wysłała się prasę do 8 punktów, w powiecie bielskim do 5 punktów, w powiecie sokólskim do 2 punktów, w powiecie suwalskim, augustowskim i łomżyńskim do 1 punktu."

AKTYWISTA PPR-u, Antoni Rutkowski, który uczestniczył w parcelacji majątków obszarowych w województwie białostockim, tak napisał we wspomnieniach: „Chłopi nie bardzo garnęli się do wzięcia ziemi, ponieważ propaganda wroga zastraszała ich mówiąc, że rząd ten jest tylko tymczasowo, że przyjdzie rząd z Londynu, to wówczas dziedzice zemszczą się na tych, co wzięli ziemię."

GRUDZIEŃ 1944 r.  
SPRAWOZDANIE  
Z DZIAŁALNOŚCI  
SPRAWIEDLIWOŚCI  
DO 1 GRUDNIA 1944 r.

„Biblioteka. Przybyło książek z li-

we. [...] W dążeniu do zaopatrzenia ludności wiejskiej w artykuły przemysłowe wydaliśmy zarządzenie o premiowaniu obowiązkowych dostaw [...] premijemy nie tylko gospodarzy, ale również i robotników rolnych. Już w tej chwili rozdaje się na premie rolnicze naftę i sól. Kończy się już przygotowanie do zaopatrzenia premiowego rolników w inne artykuły przemysłowe, jak mydło, tytoń, zapalki, żelazo i skóra. [...] Trzeba z przykrością stwierdzić, że duże ilości zboża giną bezpowrotnie dla państwa w licznych potajemnych wytwórniach bimbru. [...] dotychczas wydaliśmy ludności: obuwia ca 10 par materiałów włókienniczych

20.737 metrów odzieży 747 sztuk [...] Zarówno w ściąganiu jak i rozprawianiu żywności trafiamy na duże trudności transportowe; również niewyrobiony personel administracyjny musi być odpowiednio szkoleny, by sprostać wszystkim zadaniom. SPRAWOZDANIE KW PPR, złożone wiosną 1945 r.: „W wielu powiatach grasują silne, uzbrojone bandy, które trzymają ludność w ciągłym strachu i niepewności. Ostatnio położenie znacznie się pogorszyło, tak że każdy wyjazd do gmin i wsi grozi niebezpieczeństwem.

dunki z tamtego terenu, większość zarządów gminnych obecnie nie są czynne na skutek dokonywanych napadów i Starosta Łomżyński prosi o spowodowanie wystawienia na teren powiatu jednostki KBW celem likwidacji band, inaczej za normalne funkcjonowanie urzędów państwowych i samorządowych nie gwarantuje.

Przekładając powyższe prośbę o interwencję u miarodajnych czynników w celu pozytywnego załatwienia poruszonych spraw."

OPIS ZDARZENIA: „7 sierpnia 1947 r. do wsi Zawady gm. Chlebotki pow. Łomża przybyli: starosta powiatu łomżyńskiego Zeglicki Tadeusz s. Józefa ur. 18.05.1906 r. członek PPS, Toński Stanisław s. Franciszka ur. 1902 r., członek Stronnictwa Ludowego, Przewodniczący PRN w Łomży wraz z kierownicą Baclawskim Stanisławem s. Juliana ur. 31.01.1909 r., samochodem osobowym marki »Citroen« na naradę radnych i sołtysów. O godz. 10-tej zebrał się wójt gminy Brzozowski Roman i udzielił głosu starości.

W czasie przemówienia starosty, przez otwarte okno do lokalu gminnego wskoczyło dwóch uzbrojonych osobników, z okrzykiem »padnij«, gdy wszyscy zebrani padli, jeden z bandytów kazał wstać starości i zarządał od niego oddania broni i dokumentów. Starosta powiedział, że broni nie posiada, zaś dokumenty im oddał. Po odebraniu dokumentów i ustaleniu, kto ze stroną przyjechał, bandyta kazał wstać Przewodniczącemu PRN i także zarządał oddania broni i dokumentów. Następnie Starosta i Przewodniczącemu kazano klęknąć na podłodze i modlić się za swoje grzechy.

Osobnikami tymi byli »Rola« — dowódca bojówki PPS i »Ciemny« — Komendant Powiatu nielegalnej organizacji NZH krypt. »Podhale« pow. łomżyńskiego. Do klęczącego starosty podszedł »Ciemny« i oświadczył: Jak nie znalazł »Ciemnego« to go poznasz. To samo uczynił »Rola« i poczęli bić starostę po twarzy. Potem kazali im podejść i stanąć twarzami do ściany: »Rola« odczytał wyrok następującej treści: »W imieniu Rzeczypospolitej Polski — Podziemna Armia Narodowa skazuje Starostę Łomżyńskiego — Zeglickiego i Przewodniczącego PRN Tońskiego na karę śmierci przez natychmiastowe rozstrzelanie«. Kilka serii z automatu i obaj padli pod ścianą. Od zabitych zostały zabrane pieniądze, zegarki, dowody osobiste. Został też zdemolowany lokal urzędu gminnego i zniszczone akta urzędowe.

Wójt gminy Brzozowski Roman został pobity, i otrzymał polecenie, aby zrezygnował z zajmowanego stanowiska.

Po dokonaniu ohydnej zbrodni »Ciemny« zarządził zbiórke pozostałych członków bojówki »Roli«, którzy odjechali do wsi Łabędź gm. Długoborz, a następnie do lasu w okolicy poligonu Czerwony Bór, i tam pozabawili życia przez zastrzelenie kierownicy Baclawskiego. Zabitego kierownicę wsadzili za kierownicę i po oblaniu benzyną samochód spalili."

punkt widzenia

W wsi mówiono o ojcu: gospodarny chłop. Nie doje, nie dośpi, a zrobi. Jest jak wilk do roboty. Utwierdzał się w tym przekonaniu, głowę coraz wyżej nosił i coraz mniej liczył się nawet ze zdaniem żony, do której zazwyczaj mówił: „Matka, wydoj krowy”, „Matka, daj jeść”, „Matka, weźmiesz dzieciaki i będziesz wybierać kartofle z kopca, a ja, jak na południe z Szepietowa wrócę, to wywożę je na pole i będziemy sadzić”.

U ojca należało pracować tak, jak nauczył. Jakakolwiek próba wykonywania prac na własny sposób była przez niego od razu karana. Gdy któregoś z dzieci próbowało wykroczyć się od roboty, uchodziło za nieroba. Przy każdej okazji pytały się na nie różne gromy i pioruny: „Takięgo darmożąda muszę utrzymywać, żadnej z niego nie ma korzyści. Zje za trzech, wysypia się za pięciu, a psuje powietrze za całą rodzinę”. Było też często przedmiotem bezkarnych kpin, bo ojcu odgrzyzać się nie uchodziło.

Podpaść u ojca było bardzo łatwo. Wystarczyło, na przykład, nie w tym miejscu zrobić brudną na polu podczas jesiennej czy wiosennej orki, krowom, zamiast siana, dać koniczynę, nie to drzewo ściąć w lesie na opał. Przywykł robić po swojemu i ten styl pracy narzucał całej rodzinie. „Ty mnie rozumu nie będziesz uczył” — twierdził, chociaż z reguły sam za wiele wiedzy nie posiadał. Ukończył przeważnie dwa, trzy oddziały szkoły powszechnej, nierzadko podpisywał się krzyżkami. W gospodarowaniu miał jednak bogate doświadczenie i niemałą rutynę, czyli, jak to sam określał, swój chłopski rozum.

„Oni bajają — mówił o radiu i gazetach — aby tylko omamić chłopca. A jak pójdziesz do urzędu, to przed każdym musisz czapkować. Niby wszystko możesz załatwić, a jak w łapę nie dasz, to nie zrobisz nic”. Więc nieraz cielecinę wioził do gminy, nieraz kawał ładnego boczkę. Czasami i chabora weisnął. Wtedy łatwiej było o umorzenie, gdy woda zalała kontrakcję. Weterynarz szybciej przyjechał, gdy krowie coś się stało, a kiedy choroba na kogoś z rodzin — padła, to i o lekarza łatwiej było. Dokładniej zbadał. Lepsze leki zapisał.

Oddzielny łańcuch kłopotów stanowił okres budowy lub modernizacji zabudowań. Wysyłał syna do murarzy, aby zarobił do gospodarskiej kasy trochę grosza, a przy okazji i sam się zawodu nauczył. Syn harował codziennie, od świtu do nocy. Pieniądże ojcu oddawał, a w sobotę prosił go o kieszonkowe na zabawę. „Masz — mówił ojciec, dając pięćdziesiąt albo sto złotych — tylko mi się nie spij i od razi nie przepuść wszystkiego”. Nie też dziwnego, że często syn sobie dorzeczwał: „Będę robił tak za nic? Ojciec kiedyś też był młody i na kawalerskie sprawy pieniędzy trochę puszczał. Mnie ani brata do szkół wysłać nie chce. Wy, takie chłopcy, mówi, przydadcie mi się w gospodarce. A co my zrobimy, to ciągle nie tak i przy każdej okazji wyzywa. Siostrę zamierza wypchnąć za mąż gdzieś na wieś. Rozgląda się już za kandydatem. Teraz wysyła ją na robki: do pielienia buraków, do żniw, do młócenia”.

#### MOJA ZIEMIA — MOJA WŁASNOŚĆ

Córka, wychodząc za mąż, wносиła do zupełnie obcego domu jedną szafę, cztery—sześć krzesel, wyprawę pościelową od mamy i łóżko. Wstała i ułożyła swój posag tam, gdzie jej teściowie pozwolili. Wstała w klimat nowej rodziny, w której żyli jeszcze w wolnym stanie: brat męża, uczulony na każdą kobiecą niezdarność, i siostra, chwaleca swe panieństwo tudzież ciepły kął u mamy. Cokolwiek zrobiła, było nie tak. Odbierała uwagi od teściowej, bo co dom, to obyczaj. Niby obowiązki te same, ale — na przykład — inaczej przygotowywano posiłki. W jednym domu zabelano zupy śmietaną, w innym — tylko mlekiem, i był to już poważny powód do kłótni. Teść potrafił nieraz także naurągać synowej, gdy ugotowany przez nią obiad wydał mu się mało smaczny. „Jak żyje — mówił — to jeszcze takiego świństwa nie jadłem”. Po czym ciskał pełną miskę na podłogę.

Poszła po wsi pierwsza opinia: „Ma dwie lewe ręce. Robić nic nie

# podzwonne dla wycugów

umie. Jak nagotowała zupy, to nawet swinie nie chciały zjeść. Nie rozumem, jak ją matka chowała? Dziewa jak klempa, a taka ofermowata. Piele i piele, a zielsko i przed nią, i za nią!”

A niechby spróbowała szminka usta trochę pomalować lub pokryć lakierem paznokcie!

Gdy sama coś wzięła, słyszała zaraz: „Zostaw! Jak sobie kupisz albo od matki przyniesiesz, to będziesz mogła się rządzić”. Gdy zachorowała i musiała jeździć do lekarza, wówczas mówiono: „Znalazła chłopca i się z nim umawia”. Mąż dowiadywał się o podejrzaniach zazwyczaj po ćwierć- lub półlitrowce. Nie mógł przecież puścić tego płazem! Uciekała wtedy do swoich rodziców posiniaczona, ale ci gonili ją od siebie pomstując: „A wynoś się stąd! Aby cię wzięły nasze oczy nie widziały! Wracaj do swego chłopca, tam twój dom. Mówiliśmy ci, nie idź za niego. Nie posłuchałaś. Niech cię teraz tłucze. Nie miałaś rozumu, to on cię go nagoni!”

Matka, litościwsza dusza, występowała w roli rozjemcy: „Ojciec, toż to wstyd, aby tak nasze dziecko poniewierali. Trzeba ją stamtąd zabrać”.

Ojciec zrazu się nie zgadzał, jednak córka cmoknęła go najpierw w jedną rękę, później w drugą, i jakoś udobruchała. Zalażył konia i, klnąc pod nosem na czym świat stoi, jechał z synem po córki dobytek. Wracali często poturbowani.

Córka siedziała u swej mamy dwa — trzy miesiące. Mąż przyjechał raz, drugi. Spotkali się z sobą ojcowie. Ustalili: „Ojej! Przecież nie się nie

stało. Przemówili się trochę, jak to młodzi”. Zakropili nową zgodę, wódką, wspólnie załadowali posażny dobytek i znów wyprawili córkę do męża.

Teściowa nadal miała wiele uwag, a przy tym i niemało żalu, bo przede wszystkim przez nią, tę przybłądę, najadła się tyle wstydu. „Jest taka dobra, a z synową nie może się zgodzić” — powiedziała jej kiedyś jedna z sąsiadek. Jakby szlag w nią trafił. A jeszcze ksiądz na kazaniu tak dziwnie podgadawał. Wprawdzie po nazwisku nie powiedział, ale ludzie wiedzieli, o kogo chodzi. Zerkali w kościele na ich ławkę.

Więc trochę ostrożniej zwracała się do synowej: „Jak to powiem, to pewnie zaraz się pogniwa, ale podług to dzisiaj umyła do niczego. Niech zobaczy, jakie sine deski”. A gdy ktoś wstał do niej tłumaczyła: „Nie da sobie nic powiedzieć, ale do czego się wzięła, to nie idzie jej nic. Wczoraj wzięła się do podłogi, i o, jak wygląda. Gorzej niż przed sprzątaniem”.

Z czasem dochodziło do waśni między młodymi małżonkami. „Ale krowę mogłaś już wziąć — przypomniał mąż — bo gdy twój ojciec kipnie, to wtedy nie dostaniesz nic. Drugi koń też by się przydał. Spłata z dachów”. Przypominał także o tych „długach” teściowi sam — podczas świątecznych odwiedzin, na chrzcinach czy na odpuscie. Jeśli nie pomagało, organizował otwarte przyjazdy po część swojej żony, wykrykując na całą wieś, ile to mu obiecano, jak się z córką ożeni, a ile raptem dostał. Trzeba go było wtedy

pilnować jak złodzieja, bo przywłaszczal sobie wszystko, co mu w ręce wpadło.

„No, ja bym jej zapisał — tłumaczył teść — ale gdzie ona się podzieje, jak ją z chałupy wygoni? Tu ma swój dom rodzinny, i zawsze może do niego wrócić”.

Nie była to najlepsza argumentacja, ale ojcu w zupełności wystarczała do tego, aby podzielił gospodarstwa odłożyć na później. Gdy jednak córka z mężem silnie nalegała stosując liczne groźby i rękoczynny, dawał im przy jednej takiej „okazji” swinie, przy drugiej — po roku lub dwóch — krowę, później konia itd.

Podobnie postępował wżeniony w dziedziczkę syn: „No, niech ojcice z matką zapiszą i mi. Siostra dostaje już tyle. Brat ma całą gospodarke. Toż jak pomierają, to jemu wszystko zostanie, bo on na pewno mi nie da nie”.

Smutno rodzicom było słuchać tych słów. Popłakali się, pozalili, lecz gdy syn nie ustępował, zdenerwowany ojciec zrywał się z krzykiem: „A bierz, do jasnej cholery, wszystko! Gryz ściany domu, stodoły, obory, rwij po kawalku i do niej noś! Bo ziemia, dobytek, są tylko potrzebne wam. My już jesteśmy starzy, to możemy umierać!” „Boże, co za dzieci, co za dzieci? — zawodziła matula. — Myśleliśmy, że jak dorosną, to będą naszą pomocą na starość. A oni jeszcze gorzej, jak najwięksi wrogowie: jak jastrzębie czekają na naszą śmierć!”

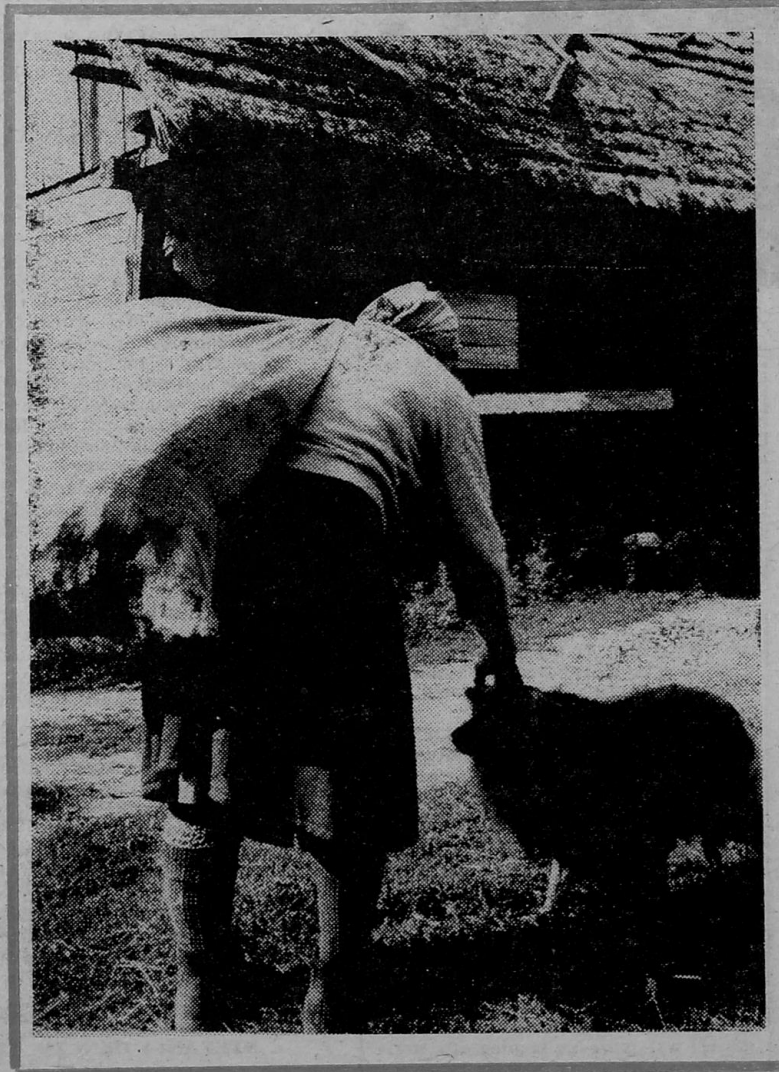
I znów dalej wszystko toczyło się swoim torem. Syn dostał konia. Po upływie roku lub dwóch — krowę. A jeśli zdechła mu po kilku latach, przychodził po następną i mówił: „Te chorą to dał ojciec mnie”.

Zupełnie oddzielne pasmo udręk mieli z synem pozostającym na gospodarce. Synowa miała, oczywiście, podobne problemy, co ich córka u teściów. Była jednak w lepszej sytuacji: mogła zawsze liczyć na poparcie swego męża. Gdy teściowa zwracała jej uwagę, odburkiwała: „Niech lepiej patrzy na siebie, jak robi. Już mogłaby tak na mnie nie gadać”. Takie odpowiedzi nie podobaly się pani domu: „To ja tyle pracy w to włożyłam, harowałam jak głupia, a ona mi teraz nie da nawet dobrego słowa powiedzieć. Przecież ja nie chcę źle”.

Coraz wyraźniej krystalizował się konflikt między młodymi a ojcami nie tylko w stylu życia, ale także w sposobie gospodarowania. Syn był w wojsku. Widział wielkie pęgeery, w których nieraz spędzał okres żniwny, służąc żołnierską pomocą. „Tam ludzie inaczej robią, jak my — wspominał. — Żniwa tam trwają trzy—cztery dni, wykopki nie więcej, a ludzie narobią się o wiele mniej. Mają kombajny, snopowiazalki, ciągniki z pługami. Zanim my będziemy to mieli, upłynie co najmniej z pięćdziesiąt lat”.

Wytworzył mit lekkiej pracy w zmechanizowanym gospodarstwie. Myślał o samochodzie, założeniu w mieszkaniu centralnego ogrzewania i wody bieżącej. „A po co ci to — powiadał ojciec. — Toż ja tyle lat z matką chodziłem za stodołę, a ty myślisz zrobić ustęp w domu?” Nie chciał też słuchać o zakupieniu większej ilości nawozów: „A tam, głupoty plotą. Ziemia tyle daje, ile może dać. A ty jak więcej się najesz, to więcej zrobisz?” Rozmowa schodziła na żart. Nieraz jednak zamieniała się w ostrą wymianę zdań. „My tyle robimy, a u was kasa gospodarstwa” — mówili młodzi. „My na starość mamy was o pieniądze prosić? — odpowiadali ojcowie. — Zapijta to sobie zimną wodą. A gospodarki pewnie po miesiącu bym nie rozpoznał. Tylko nażreć się lubicie i poleżeć”. „To niech trzyma wszystko — odpowiadał syn — zobaczymy, kto będzie robił”. „Niech się nie boi, jeszcze poradzę” — bronił się ojciec.

Ale z jego zdrowiem było coraz gorzej. Matula też narzekala na różne dolegliwości. Dla młodych następował sprzyjający okres przejścia steru rządów w gospodarce. W każdej chwili leżący na łożu śmierci ojciec mógł zwoląć siołtysa, najlepszego sąsiadów i w ich obecności dokonać zapisu. Gdy ojciec prosił o lekarza, mówili: „Co pomoże lekarz? Przecież jest już stary i śmierć jest jedynym lekarstwem”. Litowali się wówczas nad nim dobrzy ludzie, przynosili jedzenie, dali parę złotych. Musieli jednak robić to ukradkiem, bo jak młodzi gospodarze zauważyli, to potrafili z domu wyrzu-



cię albo powiedzieć: „Pchać, to w niego pcha, a kto będzie później sprzątał?” Gdy żyła jeszcze matula, zalewała się łzami. Niewiele mogła pomóc. Nie mogła też patrzeć, jak na jej oczach dokonuje się taka krzywda. Błagała Boga o szybszą śmierć i o pomstę na swoje dzieci.

Dla młodych spoza gospodarstwa istniała szansa wzbogacenia się o część któregoś z rodziców. Przyjeżdżali więc doradzać im przeniesienie się do siebie, zapewniali lepsze warunki dożywocia. Ale babcia rzadko godziła się na wędrowkę do innej wsi. Nad proponowane jej wyjeżdżanie przedkładała swój pokój, z którego jeszcze za jej życia zniknęły: drugie łóżko, stolik, krzesła i inne przedmioty. Wnuki natomiast, biorąc przykład ze swoich rodziców, wykradały babci kawałki ciasta, które przynosiły jej dobre sąsiadki, a sprytniejsze — również ostatnie złotówki. Nie mogła na to nic powiedzieć, bo zaraz słyszała odpowiedź swoich dzieci: „Po co żaluje? Przecież sama wszystkiego nie zje, a do grobu nie zabierze”. Wyrabiali w ten sposób u wnuków opinię, że babcia jest bardzo skąpa, więc i one nie liczyły się z jej zdaniem. „Niech chłbia płoski — powtarzały za rodzicami — to szybciej zdechnie”. Na ofiarę dla księdza jeszcze jej od święta z pięć lub dziesięć złotych dali, ale sukienkę czy buty kupowali już tylko na ostatnią drogę.

Na jej pogrzeb przyjechali wszyscy, podobnie jak na pochówek ojca. Przywieźli blaszane wieńce z żalobnymi szarfami: „Kochanej Mamusi i Babci pogrzeżeni w smutku dzieci i wnuczki”. Optakiwali najukochańszą mamusię rzeźbiąc i obficie zakrapiali żal wódką. Po kilku żalobnych pieśniach przechodzili do sedna sprawy, tzn. sprawiedliwego podziału części matki; sprawa często kończyła się na sali sądowej.

Jednakże gdy się żenił, to do domu z prośbą przyszedł: „Może ojciec pożyczycy mi dwadzieścia tysięcy, mam teraz tych wydatków tyle, pensja ledwo mi na obrączki starczyła”.

Córka skończyła zawodówkę, znalazła męża w mieście, drugie wesele trzeba było zrobić. Honorom wprost postawili się ojcowie przed tymi z miasta, a i przed wsią także. Cała rodzina się zjechała. Mieszkanie również pomogli jej wyposażyć. Wkrótce zaczęły przychodzić na świat pierwsze wnuki. Gdy wyjeżdżała z mężem na urlop, to przewoziła je do dziadków, nie martwiąc się o to, że w polu wszystko stało, zdane na łaskę dwu spracowanych rąk, które musiały zdążyć i z mlekiem do mleczarni, i z obrządkiem, i z zabawieniem wnuków — na dodatek.

Po kilku latach przyjeżdżała córka do matki z płaczem, że mąż znalazł sobie inną i do domu przychodzi tylko od święta. Więc dawali jej trochę grosza, aby miała nieco lżej.

Drugi syn jeździł ciągnikiem w miejscowej bazie. Wpadał czasami do domu i pomagał, ile mógł: wykosił żyto, zwiózł z pola. Niewiele miał czasu. Pochłaniała go to akcja żniwna, to wożenie piachu na drogę. Jeździł jeszcze do technikum rolniczego, bo uparł się, że je musi skończyć. Liczył na lepszą pracę w mieście. Rodzice myśleli, że zostanie na gospodarce. A on ich podmawiał do sprzedania wszystkiego i wędrowki z nim do miasta. „Dom wystawimy

spustoszenie, jakie pozostawiały po sobie w kurniku, chlewie czy oborze rodziców.

Kiedy już rodzice wynieśli na stół pieczyście z kur, gęsi, prosiaka lub cielaka, przysiadali na chwilę, zamieniali kilka słów i znów szli do obrządku, przepraszając, że przez cały czas nie mogą tak drogiego gościa zabawić. Młodzi składali deklaracje przyjazdu na żniwa czy wykopki, lecz w efekcie nigdy nie zdawali. Nie tylko przybyć, ale nawet napisać. „A jak im co trzeba — złoślił się ojciec — to wpadają choćby o północy”. Matka była bardziej wyrozumiała: „Pewnie to zapracowane. Jakoś z robotą poradzimy. Sąsiad, jak zwykle, pomoże”. Pomagając sobie wzajemnie z sąsiadem, któremu także brakowało rąk do pracy, pchali jakoś gospodarstwa. Zdarzało się też, że udało im się nająć kogoś za pieniądze, ale o taką okazję było coraz trudniej. Tymczasem zbliżały się kolejne święta, więc rodzice, z radości ujrzenia dzieci, zapominali o bolących rękach i grzbietach.

Gdy dzieci odjeżdżały ze świąt do domów, to matula krzątała się po komórce, sięgała często do lodówki i każdemu wkładała coś do torby: a to szynkę, to jajka, boczek wędzony lub schab świeży. „Zawsze to dłużej pożyczycie tymi świętami — mówiła. — Nie będziecie musieli zaraz w kolejkach wystawać”. Ojciec zakładał konia do wozu i odwoził dzieci na stację. One za to przysyła-

Wówczas to wchodziła w życie sejmowa ustawa o zabezpieczeniu emerytalnym rolników. Niosła ona rozwiązanie ich skomplikowanej sytuacji, gwarantowała spokojną starość. Wielu przyjmowało ją więc z nie ukrywanym zadowoleniem.

Dzieci przyjeżdżały do nich, jak poprzednio, chociaż z początku boczyły się na taką decyzję: „Jakby ojciec wszystko sprzedał, to na pewno lepiej by na tym wyszedł. Byłoby więcej pieniędzy i dla nas, i na waszą emeryturę”. „Nie bój się — objaśniał ojciec — już my to z matką bardzo dokładnie obmyśliśmy. Nie chciało żadne z was zostać, więc trudno. My też musimy mieć własne środki utrzymania na starość. Ciągnęliśmy, dokąd to było możliwe. Nie możecie narzekać, pomogliśmy wam bardzo dużo. A przyjechać do domu przeciwko waszemu życzeniu. Nie musimy na ostatnie lata zdawać się na waszą łaskę. Za to teraz będziemy mogli pojechać z matką do naszych kochanych dzieci, zobaczyć, jak żyją, jak mieszkają. Może któregoś z was zaprosi nas kiedy na święta. Obejrzelibyśmy przy okazji trochę Polski, bo dotychczas nigdzie nie wyjeżdżaliśmy. Ale nie bójcie się, tego świeżego schabu jeszcze zawsze wam przysyżemy.”

Młodzi zaczęli rozumieć, że urywa się, zawsze im przychylna, rodzicielska kieszeń. Zostali zmuszeni do liczenia tylko na siebie i na swoją pracę; wypadało opóźnić o kilka lat nadzieje na samochód, własny dom, nowe meble.

## MOJA ZIEMIA — MOJA PRACA

Do progu starości zbliżało się kolejne pokolenie rolników. Konflikt między dziećmi a rodzicami o władzę w gospodarstwie przestał właściwie istnieć. Dzieci kończyły szkołę podstawową, a później wybierały zawodówki, technika, licea ogólnokształcące. „Wycują się, to będą mądrzejsze” — mawiali rodzice i cieszyli się z odnoszonych przez nie sukcesów. Czasami, przeważnie pod koniec roku szkolnego lub w czasie wakacji, powstawały spory na temat obozu czy wycieczki, bowiem rodzice żądali pomocy w gospodarstwie, i przeważnie stawiali na swoim.

Generalnie rodzice twierdzili, że szkoła złego nie uczy, ale też nie uczy niczego praktycznego, na przykład ani uczciwego rzemiosła, ani dobrego gospodarowania. We wsi coraz trudniej było o kuśnierza, rymarza, szewca, kowala, luciarza.

Młodzież odpływała do miast: po samodzielność, ośmiogodzinny dzień pracy, bezpłatną opiekę lekarską, urlopy i możliwość spędzenia ich w różnych częściach kraju, po miejski styl życia i spędzania czasu.

Gdy najstarszy syn przyjeżdżał do domu rodzinnego po latach wędrowki po pokojach sublokatorskich, mówił: „Tam jest rajskie życie. Tyle ładnych dziewczyn! Jak wyjdę na plażę, to nawet nie wiem, za którą się oglądać”. Opowiadał też wiele o lekkim życiu i dużych zarobkach.

Słowa te bardzo mocno działały na wyobraźnię młodszego brata, którego zamierzano pozostawić na gospodarce. „Przyjeżdżasz do mnie — przekonywał starszy — to zobaczysz na własne oczy. Żyć, nie umierać. Rób, co uważasz. Ale chyba nie będziesz przez całe życie harował jak ojcowie?” „No, nie gadaj tak, nie gadaj” — przerywali mu rodzice, a on im na to: „To powiedzcie szczerze, co z tej ziemi macie? Nigdzie nie możecie wyjechać, bo zaraz za wami świnie kwiczeć i krowy ryć będą. Ja na waszym miejscu już dawno bym to sprzedał, kupił domek w mieście, poszedł gdzieś do zakładu, nawet za stróża, dostał te dwa tysiące na miesiąc i jakoś żył. A na starość miałbym jeszcze emeryturę”.

Rodzice z uśmiechem słuchali tych porad. „Jak tam ludzie wytrzymują — dziwił się ojciec — w takich klitkach, przy hałaśliwych ulicach? Ciągłe są zależni od innych. Tu jak chce, to wstaje, jak chce, to odpoczywa. Nikt mi się nie wtrąca”. „Akurat dużo ojciec odpocznie!”



i będziemy żyć jak ludzie” — twierdził. A ojciec mu na to: „Czy tu mieszkamy w oborze? Tak samo, jak w mieście. Masz łazienkę, ustęp w domu, mieszkanie umeblowane, i to większe, niżby ci dali”. Ale chłopak się uparł. Nawet działkę pod dom wykupił sobie w mieście, choć pieniędzy miał niewiele. „Jakby to wszystko sprzedali, to akurat by starczyło na dom” — obiecał. Lubił wyskoczyć na zabawę i wrócić dopiero nad ranem. Pragnął mieć ładną, posłuszną żonę i dużego fiata.

Rodzice byli szczęśliwi, gdy zjeżdżały na święta do rodzinnego gniazda wszystkie dzieci. „Czemu nic nie pisalesz? — przepytawali po kolei. — Myśleliśmy już, że coś się z tobą stało”. „Co się mogło ze mną stać? Dni uciekały tak szybko. Człowiek rano wstanie, wskoczy do baru na śniadanie, potem pójdzie do pracy, i już prawie koniec dnia” — wyjaśniał niejedyn syn. „No, ja wysłałam list — mówiła córka — i dziwię się, że nie doszedł”. Nie wnikał w to, czy rzeczywiście napisała; łatwiej było uwierzyć w niesolidność listonosza.

Zasiadali do świątecznego stołu. Dzieci ubrane starannie, po miejsku; często wydawały na stroje całe swoje pensje, zaopatrując spizarnię i piwnice zasobami rodziców. Czuli się tu gośćmi, i wcale nie dziwiło ich nadszkakiwanie matki ani

ły im kartkę z życzeniami na imięninę.

Praca starszkom szła coraz ciężiej. Sprzedać gospodarstwo łatwo, dzieci pieniędzmi obdzielić też; ale co potem zrobić z sobą? „Niechbym nawet — rozważał ojciec — dostał za nie pół miliona; na każdego wychodziłoby po sto tysięcy. Jeden syn kupi samochód, trochę wypije, walnie gdzieś w drzewo i co? Drugi, powiedzmy, postawi sobie dom w mieście, ale dom kosztuje o wiele więcej. Czy wtedy zgodzi się na utrzymywanie starszków? A jeśli nawet, to co my będziemy tam robić? Siedzieć, patrzeć i czekać, aż nam laskawie da po pięć złotych na łódź? Bo może nawet na piwo poszkodować. Córka umebluje sobie za te sto tysięcy mieszkanie i będzie się starała wyciągnąć od rodziców resztę, a potem cóż my będziemy warić bez pieniędzy?” Zdecydowanie więc cofa się ze sprzedaży. Całą ziemię trzeba będzie chyba państwu oddać, a dachy i kawałek działki sobie zostawić. Najchętniej sprzedałby wszystko dobremu gospodarzowi, ale wtedy dzieci znów pieniądze rozskubią, a z małej działki na pewno oboje nie wyżyją. Dzieci nie pomogą, bo zawsze same siedzą u ojca w kieszeni. Więc co zrobić? Takie rozważania snute były w każdym domu, w którym brakowało następcy gospodarstwa.

Rodzice organizowali, tradycyjnym zwyczajem, świąteczne spotkania dzieci u siebie, lecz mieli teraz coraz większe kłopoty z przygotowaniem się do nich, jako że młode rodziny stawały się coraz liczniejsze. Zdarzało się, że zapragnęli przynajmniej jedno ze świąt spędzić u któregoś z dzieci, ale jeden syn pisał nagle, że może w tym roku pojechać do brata lub do siostry, bo on załatwił sobie wczasy w górach i wyjeżdża tam z rodziną; drugi przysłał tylko kartkę z życzeniami, bez wzmianki o zaproszeniu, a oni nawet nie znali jego adresu. Córka, obok życzeń, zamieściła w liście pytanie, czy może u nich na okres świąt pozostawić dzieci, bo wybiera się do swojej koleżanki na wesele.

Sejmową ustawą o zabezpieczeniu emerytalnym rolników (jej pełna realizacja nastąpiła 1 lipca br.) można porównać z takimi przełomowymi aktami w życiu wsi, jak: uwłaszczenie chłopów (1864 r.), reforma rolna (1944 r.) i bezpłatna opieka lekarska (1972 r.). Z emerytur skorzystała dotychczas jedna trzecia stanu wszystkich rolników.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

penetracje

# łęczowym szlakiem

To popołudnie Lucyna Zaręba ma całkiem luźne. Tak luźne, że może sobie swobodnie robić na drutach i gapić się w telewizor. Dziwna rzecz, ale zajęcia domowe wydają jej się stokroć łatwiejsze niż osmiodziesiętna robota w Zakładach Przemysłu Bawełnianego w Zambrowie. Jej córka, Teresa Beata (to ostatnie imię dlatego, że kiedyś była taka moda), podziela tę opinię matki: — Byłam w fabryce tylko dwa razy, i to w okresie nauki w szkole podstawowej. Kółko geograficzne zorganizowało wycieczkę. Zobaczyłam ich: cali w bawelnie, tylko oczy świeciły się w bieli. Wyglądali jak święci Mikołaje. Powiedziałam sobie: „Nie dla ciebie ta robota, Beatko”.

Co zatem dla Beatki? Dla Beatki bawienie cudzego dziecka „u jednych państwa” i wieczorówka. Robi III klasę ogólniaka, a „od państwa” ma zaświadczenie, że pracuje.

Matka prosi, żeby „tego tak nie ujmować do gazety”. I należy ją rozumieć. Dwudziestoletnia Beata — bądź co bądź — latami młodszemu rodzeństwu zastępowała matkę. Wychowywała osiemnastoletnią dziś Elżbietę, czternastoletniego Marka i jedenastoletniego Zbigniewa, jeść im gotując i opierając. Zwykły los najstarszej w robotniczych rodzinach. Toteż nietaktem jest pytanie, czy po ogólniaku Beata będzie się uczyła dalej. Matka patrzy podejrzliwie, a sąsiadka, Wanda Rudnicka, dodaje pospiesznie: — Co ona ma iść dalej, jak na trójkach jedzie.

„Sama Beata ma z góry ustalone zainteresowanie: — Pójdę w kierunku handlowym. Lubię ten zawód. Pomagałam kiedyś znajomej w kiosku „Ruchu”, a później w sklepie, w tym, co się spalił i będzie budowany od nowa. Bo ja strasznie lubię sklepy.”

Matka Beaty, kiedy była w jej wieku, nie wiedziała, co najbardziej

lubi. W Kubrze koło Jedwabnego, w małym gospodarstwie rodziców nie starczało miejsca dla czworga rodzeństwa. Pierwszy wyrwał się z domu brat, Edward Mioduszewski, dziś emerytowany major Wojska Polskiego; później siostra Helena, obecnie robotnica w Zakładach Obuwniczych w Chelmku, a Barbara i Lucyna chłopami rozstrzygnęły między sobą, która na wsi zostanie. Wygrała Lucyna, która wzięła malarza pokojowego, dziś więcej w Warszawie niż w Zambrowie przebywającego, ale przecież takiego, co swoją comiesięczną dołą na dzieci i dom daje.

Najpierw był wielki afisz na płocie we wsi Kubra, nawołujący młode dziewczęta do pracy w obiektach sześciolatki. Dla Kubry tą swojską sześciolatka to był Zambrow, gdzie powstały Zakłady Bawełniane, bądź odległa Nowa Huta. Ale wcześniej należało przejść chrzest w brygadach „Służby Polsce”. I Lucyna ten chrzest przeszła — w brygadzie wykopkowej SP w pegeerze pod Węgorzewem. — Nie warto tego wspominać, bo to zwyczajna robota, jak na wsi.

Wspomnieć za to warto wyjazd na kurs przadek do Łodzi, gdzie gładem był ów pobyt w pegeerze. „Sprawdziła się w polu, sprawdziła się w fabryce” — tak wówczas rozumowano. Jechały do Łodzi dziesiątki dziewcząt podobnych do Lucyny — śpiewając: „Znów się pieśń na ustach rwie, młodzież i SP [...] Maszeruje rozśpiewana bracia — przyśpiewa szlak tęczowy”.

W Łodzi, pod koniec kursu dla tkaczek i przadek, takie jak Lucyna przejmowała Krystyna Jojczyk, która z torebką pełną zakładowych pieniędzy prowadziła je do sklepów i kupowała najpotrzebniejsze rzeczy: pantofle, sukienki, płaszcze — wszystko uszyte według państwowe-

go gustu. Ale przecież cieszyły się, bo wreszcie miały coś swojego poza roboczym fartuchem, mimo że identycznego z resztą koleżanek.

Krystyna Jojczyk, dziś II sekretarz KZ PZPR w Zakładach Przemysłu Bawełnianego w Zambrowie, wyszła, jak to się w życiorysach pisze, z kadrowej klasy robotniczej — z centrum przemysłu lekkiego, z Łodzi. Wyszła stamtąd nie tyle z entuzjazmu, ile z powodu zdrowia. Jako „wysunięta robotnica” — zasłużyła na pracę w Zarządzie Łódzkim Związku Młodzieży Polskiej. Gdyby nie gruźlica, pewnie by zrobiła karierę polityczną. Stan zdrowia spowodował jednak, iż skierowano ją do pracy wychowawczej z młodzieżą, w powstającym właśnie w Domu Młodego Robotnika (raczej: robotnicy) w Zambrowie, gdzie — jak teraz wspomina — „ratując na noc chowają”. Razem z nią do Zambrowa przyszło kilkudziesięciu zetempowców, bardziej kadra — mistrzowie, organizatorzy produkcji — niż „zwykli robotnicy”. I choć później prasa rozpisywała się, szczególnie o owym burzliwym 1956 roku, że Zambrow to miejsce, gdzie zapominano o socjalizmie, to przecież dla niej, Krystyny Jojczyk, obraz tamtych dni jest prawie różowy. Ubarwia go wspomnienie młodości, które po latach nawet płacz przemienia w radość.

Krystyna Jojczyk nie ma swojej rodziny. W latach pięćdziesiątych matkowała młodszemu od siebie zaledwie o dwa, trzy lata dziewczynom. Teraz nie jest już taka tolerancyjna. Popelnia — typowy dla większości starszych ludzi — błąd w cenie nadchodzących generacji: ocenia je z perspektywy swojej młodości. Jeśli ZMP w pochodzie śpiewało, to i oni powinni śpiewać. Toteż gdy zaczyna się pochód pierwszomajowy, Krystyna Jojczyk i inni

Lucyna Zaręba: Proszę tego tak nie ujmować do gazety.



dawni z  
wać wsz  
dzież, ta  
ze zdziw  
wają się  
wspólny

W tam  
prosty.  
okoliczn  
hukana,  
tówka w  
choć był  
kalkulacji  
Bawełni  
one na  
Lucyna  
maczyć.  
twa nau  
uczyły s  
wily z c  
W latach  
a później  
Zambrow  
jak na c  
to dziś  
wracaly  
cie. Dzie  
brego do  
wielnie”  
dawać s  
było lat  
szania p  
aby „b  
ludzki.  
szokowa  
noscia r  
niami. C  
rzucając  
ruchów,  
jednak  
czyk —  
stu.

— An  
mina —  
py zamb  
szawie,  
bym mo  
nych la  
dzących  
go z dzi  
wspomn  
bezgran  
botnice  
przyodz  
dy”.

To sp  
próbuj  
jest zu  
stwierd  
cze mie  
tnio wy  
sza już  
końcem  
jest jej  
wie póź  
mistrz  
niami  
ogromn  
wyłapu  
drogie  
mi, wy  
ny w r  
mi stoi  
bywa p  
skromn  
serwet  
wykona  
jac się  
jak u  
nie wi  
przecie  
tak zło

Więc  
Wagner  
ło. Sw  
coś p  
dzien,  
chali r  
Parcel  
browie  
cie lat  
szkoły  
wiecki  
siedem  
Rok 19  
dopier  
prędz  
byli ty  
klucz”  
bez —  
nych c  
do Ka  
zbieran

Wag  
nych c  
magan  
i rob  
stsze  
zetem



dawni zetempowcy próbują poderwać wszystkich do śpiewu. Ale młodzi, ta współczesna, patrzy na nich dziwnie, ta współczesna, patrzy na nich dziwnie, ta współczesna, patrzy na nich dziwnie. „Ot, wariaci, wyrzucą się”. I jak tu znaleźć z nimi wspólny język.

W tamtych latach ten język był prosty. Przychodziła sama bieda z okolicznych i dalszych wiosek; zabrakła, zagłodzona, której było złotówka wydawała się szczęściem. I choć był okres, kiedy podważano lokalizację zambrowskich Zakładów Bawelnianych, przecież znalazły się one na swoim miejscu. Takim, jak Lucyna Zaręba, nie trzeba było tłumaczyć, co to wątek i osnowa; tkactwa nauczyły się w mieście, przestały się życia w mieście, przestały się życia w mieście, przestały się życia w mieście. W latach, w których najpierw wieś, a później klasa robotnicza opanowała Zambrow, miasto patrzyło na nią jak na coś najgorszego. Choć brzmiało dziś sloganowo — „szpulki” wywracały spokojne, mieszczańskie życie. Dziewczynie z tak zwanego „dobrego domu” nie honor było w „bawelnie” pracować, czy choćby zadawać się z tymi z fabryki. Trzeba było lat, owego ogromnego wymieszania przybyszów z miejscowymi, aby „bawelna” wrosła w pejzaż ludzki. Z początku te dziewczęta szkoliły: zabiedzeniem, zachłannością na robotę, małymi wymaganiami. Odstawały od miejscowości, rzucając się w oczy niezgrabnością ruchów, nieokrzesaniem. Później jednak — jak mówi Krystyna Jojczyk — zaczęły nadawać ton miastu.

— Ani się spostrzegłam — wspomina — kiedy zaczęły omijać sklepy zambrowskie, ubierać się w Warszawie, dyktować szyk i modę. Gdybym mogła zatrzymać obraz z dawnych lat, obraz dziewcząt wychodzących po pracy, i skonfrontować go z dzisiejszym, odrzuciłbym sentymenty wspomnień, zdziwienie moje byłoby bezgraniczne. Dzisiejsze młode robotnice wychodzą z zakładów często przyodziane w stroje według „Burdę”.

To spostrzeżenie, jak każde, które próbuje przyjąć cechy uogólnienia, jest zwodnicze. Brzmi tak, jak stwierdzenie, że wszystkie robotnicze mieszkania są jednakowo dostojnie wyposażone i że ludzie nie muszą już z trudem wiązać końca z końcem. Lucyna Zaręba mówi, że jest jej teraz dobrze. Podobnie powie później Mieczysław Wagner, mistrz tkacki. Ale między mieszkańiami Zarębów i Wagnerów jest ogromna różnica, która przybysz wypłuje z progu. U Wagnerów — drogie regaly zastawione kryształami, wystawnym szkłem; dom posażny w meble i urządzenia, za którymi stoi się w kolejkach bądź zdobywa po znajomości. U Zarębiny skromna prostota, a to, co ładne — serwetki, haftowane poduszeczki — wykonały ręce gospodyni, relaksując się po pracy w fabryce. I choć, jak u Wagnerów, na głównej ścianie wisi obowiązkowy landszaft, to przecież w biedniejszej oprawie, nie tak złoconej, nie tak krzykliwej.

Więc „dobrze” ma różne odcienie. Wagner twierdzi, że mu się powiodło. Swoją przeszłość wspomina jako coś prawie nierealnego. Choćby dzień, kiedy z bratem Edwardem jechali na rowerach ze wsi Ruskołki Parcele, aby robotę „złapać” w Zambrowie. Wagner miał wtedy szesnaście lat i świadectwo zasadniczej szkoły metalowej w Ostrowi Mazowieckiej; brat, starszy od niego o siedem lat, był mu za przewodnika. Rok 1954: zambrowska „bawelna” dopiero się rodziła, powstawała przedziałnia. W ten czas potrzebni byli tylko tacy, co „potrafili trzymać klucz”. Przyjmowano ich od ręki, bez — charakterystycznego dla obecnych dni — odsyłania od Annasza do Kaifasza, wystawiania, czekania, zbierania zaświadczeń.

Wagnerowie, jak i setki podobnych do nich, nie mieli żadnych wymagań. Ot, zwykły kątek do spania i robota na pełen zegar. No i częściej niż dziś zebrania i masówki, zetempowskie, związkowe, ogólnoz-

kladowe; nawoływania i apele: „My ZMP”. Nasze pokolenie musi pokazać. „Wyteżoną pracą budujemy szczęście naszej Ojczyzny”.

Czerwone krawaty wznosiły okrzyki „za” i biły gromkie brawa. Na masówkach czczono przyjaźń polsko-radziecką, która tu, w Zambrowie, miała namacalne kształty. Wszystkie maszyny, które Wagner i jego starsi koledzy montowali, nosiły napis „Sdielano w CCCP”. Nad montażem czuwali specjaliści radzieccy. Wagner nie pamięta już ich nazwisk. Wie, że był Kola (taki czarny, przystojny, młody) i Grisza, który pięknie śpiewał rosyjskie piosenki. Choć sam Wagner wtedy jeszcze nie pił (a i teraz „tyle co do koleżeństwa”), przecież pamięta, że jego starsi koledzy bratali się wieczorami z Griszą i Kolą, tak jak na słowiańskie dusze przystało.

Dzisiaj rodzina Wagnerów zbierze się prawie w komplecie dopiero po 22.00.



Krystyna Jojczyk: „Szpulki” wywracały spokojne, mieszczańskie życie.

Zona i córka Elżbieta pracują w tym tygodniu na drugiej zmianie. Na ten moment najbardziej czeka pięcioletnia Ania, która przekornie będzie przerywać naszą rozmowę wezwaniem: „Tato, nie kłam”. Stąd paradoksalne sytuacje. Wagner opowiada o tym, jak to — na polecenie ZMP — objął funkcję w Gromadzkiej Radzie Narodowej i już będąc referentem skupu, zabiegał, żeby „oddali państwu zboże”. W tym momencie wkracza Ania: — Tato, nie kłam. — Kiedy opowieść się rozkręca i razem z Wagnerem jesteśmy na kursie mistrzów tkackich w Łodzi, znów słyszymy: — Tato, nie kłam. — A potem przy opowieści o tym, jak to Wagnerowie tulali się po Zambrowie, wynajmując pokoje na poddaszach czy parterowych ruderkach. Nawet wówczas, kiedy Wagner opowiada, gdy do partii wstępował. Więc najlepiej położyć małą spać, aby nie przeszkadzała w rozmowie dorosłych swoim gaworzeniem.

Wagnerowie. Mieczysław: Przed życiem nikt jej nie uchroni. Elżbieta: Poszlam w ciebie, ale mam swoje oczy i swoje zdanie. Ania: Tato, nie kłam!



Kiedy Elżbieta córka Wagnerów, pomocnica przątki w Zakładach Bawelnianych, wraca z drugiej zmiany, my sobie z ojcem bezkarnie narzekamy na współczesną młodzież, która ani do roboty, ani do zabawy. Nie tak, jak dawniej. I nagle kontra: że co to, jak to? Że łatwo tak narzekać, wymądrzać się, skoro naprawdę nie zna się młodych. Oni podejmują trudniejsze zadania, bardziej złożone, a starsi uganiają się tylko za pieniędzmi. Ze na zebraniach mówi się krytycznie o młodych, a kiedy im trzeba naprawdę pomóc, to zaraz uwagi: rozpieszczęni, rozkapryszeni. Bóg wie czego chcą.

Elżbieta jest aktywistka ZSMP i kandydatem partii.

— Poszła we mnie — mówi Wagner. Ale Elżbieta jest precyzyjniejsza w określeniach: — Poszlam w ciebie, ale mam swoje oczy i swoje zdanie.

Nie jest bezkrytyczna w stosunku

to właściciele przestaliby wynajmować kwatery i gdzie wtedy podziałyby się te dziewczęta.

Elżbieta ma książeczkę mieszkaniową i pięćdziesiąt tysięcy oszczędności. Tak jak inne — czeka na mieszkanie. Ale jej nie tak pilno, jak tamtym. Jej start w dorosłość był ułatwiony; wyznaczyła go ciężka praca ojca i jego awans życiowy. Porównują teraz, ojciec i córka, swój pierwszy dzień w pracy.

— Ja się ogromnie cieszyłem — mówi ojciec.

— A ja się rozplakałam ze złości. Zaskoczyło mnie odnoszenie się ludzi do siebie.

— Nie rozumiem — dziwi się ojciec i próbuje pomóc córce w postawieniu diagnozy.

Ale ona wali wprost: — Nie o to chodzi: oni strasznie klną, tak że aż uszy wiedzą.

Wagner śmieje się z tego płaczu córki: kto by się tam przejmował takimi drobiazgami. Klną, bo klną, taki już — widać — obyczaj, i nie naprawisz go od razu. Trochę żaluje teraz, że nie przygotował córki do wejścia w zakładową rzeczywistość. Ale może też i niepotrzebne dziewczynie takie wydelikacenie: przed życiem jej nikt nie uchroni. W ogóle stara się dawać córce jak najwięcej samodzielności. Kiedy zaproponowano jej wstąpienie do partii, ojciec — choć bardzo był za tym — wrzucił tylko ramionami: „Rób, jak chcesz, przecież jesteś dorosła”. On sam, gdy wstępował do partii, zawarł układ z żoną: „Pamiętaj, żebyś mi tego nigdy nie wymawiała”. Bo żona jest daleko od polityki. Przede wszystkim liczy się dla niej dom, rodzina, zdrowie bliskich; no i żeby w pracy w Telkowie, gdzie jest monterką, nikt się na nią nie krzywił. Z córki zadowolona, bo nie szlifuje bruku, jak inne, nie lata po kominkach, lecz uczy się pilnie w wieczorowym technikum włókienniczym.

Krystyna Jojczyk, choć dawno już nie ma zajęć w Domu Młodego Robotnika, przecież tam zachodzi. To już nie ten, co dawniej, budynek. Tamten był paropiętrowy, obszerny, ze stołówką i licznymi pokojami, w których, na żelaznych łóżkach, mieszkało 360 dziewcząt. W tamtym jest Urząd Miasta i Gminy. Obecny DMR mieści się tuż przy zakładzie, w ciasnym baraczkach, gdzie wystarcza miejsca zaledwie dla 60 dziewcząt, które się pilnują, aby nie podpaść, bo „za byle co mogą wylecieć i szukać miejsca na stacji”. Jojczykowa odwiedza te dziewczęta. I wtedy uśmiecha się do niej młodość — jej młodość, bo wspomnienia są w niej coraz silniejsze i coraz silniejszy jest żal za tym, co odeszło. Nagle. Jak po deszczu tęcza. Każde pokolenie ma swój szlak tęczy.

STANISŁAW ZAGÓRSKI  
Fot. Gabor Lőrinczy



Wczesnym rankiem wyszli do pracy. Adama zmęczyło nie tyle układanie snopów, co upał. Gdy obudził się po obiedniej drzemce, słońce zbliżało się do horyzontu. Przez kilka dni mięśnie go bolały, ledwie chodził. Nocami spał jak kamień.

W niedzielę cała rodzina poszła do kościoła. Adam pościelił koc na wzgórzu za sosenkami i próbował czytać. Zmógł go sen. Kiedy otworzył oczy, siedziała koło niego Zocha.

— Skąd ty tutaj?  
— Ojcowie kazali mi przygotować obiad. Widziałam, jak wychodziłeś do sadu, i chciałam się z tobą zobaczyć. W tej udręce od rana do nocy nie mam ani chwili dla siebie.

Miała perkalikową sukienkę, przykrótka jak u dziewczynki. W górce kołysały się sosny, leniwie, z niechęcią.

— Chciałaś mi coś powiedzieć?  
— Dlaczego mnie oszukujesz, Adam?

— Nie musiałem cię oszukiwać. Nic między nami nie było.  
— Nie jestem dzieckiem, ale ty niczego nie chciałeś.

— Może nie mogłem. Masz swoje ambicje, ja mam swoje. Chodziliśmy na niespory, lecz potem niespory stały się niepotrzebne.

— Wolaleś Irenę?  
— Nie wiem, tak się stało.  
— Zawsze cię lubiłam. Ale mogłam przecież tak od razu.

Znowu słońce zajaśniało w konarach drzew. Perkaty nosk Zośki mógł się za chwilę zacerwieńnić od płaczu. Psy zaszczekały, widocznie ktoś nadchodził.

— Będziemy przyjaciółmi, Zośka, a gdy dorosnę, zobaczymy.

— Musisz mieć dziewczyny?  
— Jest tak, jak jest, kto wie, dlaczego?

— Ale tak zawsze być nie musi?  
— To prawda. Nikt tego nie powiedział.

Pochyliła się i pocałowała go. Przyciągnął ją do siebie. Znowu rozszczekały się psy. Zocha podniosła się.

— To zapewne ktoś z sąsiadów. Poczekaj.

Widział, jak biegła przez sad w perkalikowej sukience. Wstał, zbliżył się do studni i wyciągnął wiadro zimnej wody. Pił łapczywie. Zośka nie przychodziła. Zbliżając się do chaty, zobaczył wracającą rodzinę.

Właściwie tej nocy Adam postanowił wyjechać. Powiedział o tym Stachowi. Jakiś czas milczeli, aż Szymkowiak odezwał się pierwszy.

— Boisz się Zośki?  
— Może i nie, ale po co?  
— Tak, to prawda, ale Zośki już nic nie zatrzyma.

— Zocha nie może być drugą, muszę załatwić z Ireną.

— Dlaczego nie jesteś szczery?  
— Nie umiem inaczej.

— Pomów z Zochą. Nie wolno jej porzucić i wyjechać. Należy dać nadzieję. Zocha jej nie wymyśli. Jest na to zbyt prosta i prawdziwa.

— Jeszcze kilka dni temu radziłeś jej nie ruszać.

— Powiedziała mi, że gdy ją rzucisz, ucieknie.

— Jest prawie podlotkiem.

— Irena była nim też.

— Irena była sobą. Zocha pójdzie do spowiedzi.

— To potem. Ale teraz? Pomów z nią. Powiedz jej coś takiego, by chciała czekać, a ty pożegnasz Irenę.

Noc była duszna i pochmurna. Zbliżała się burza.

— Cholerny deszcz, nigdy nie zaczyna padać?

Stach nie odpowiedział. Drzwi od stodoły uchyliły się i weszła Zośka. Właściwie jej nie widzieli, ale nie mógł to być nikt inny. Wlaziła na drobną długo i niezgrabnie. Nagle powiedziała: — Pomóż mi.

Targowiak wciągnął ją na siano. Drżała. Wyczuwał to przez sukienkę. Położyli się koło siebie, daleko od Stacha.

— Jesteś zupełna wariatka. Zaraz będzie burza i stąd nie wyjdiesz.

— A ty chcesz?

— Co?

Zarzucała mu ręce na szyję. Stach musiał wszystko słyszeć i chyba to powstrzymało jedynie ich. Z każdą chwilą było coraz bardziej duszno. Burza nie nadchodziła. Pot spływał po karku i Zocha miała wilgotne dłonie. Grzmoty przeciągały obok.

Powiedział, nie bardzo rozumie-

jąc sens własnych słów: — Co robimy jutro?

Milczała. Nie mógł powstrzymać się przed głaskaniem jej ciała. Myśli odbiegały daleko. Gwałtownie objął dziewczynę i poczuł jej brzuch przy sobie. Usłyszał krzyk. Nikt ich przed sobą nie mógł obronić. Nie zauważył, kiedy deszcz zaczął padać. Wtedy Zocha wstała i wyszła.

Nazajutrz był czas pracy. Zocha przyniosła obiad. Przysiadła.

— Zostaniesz?  
— Tak.

— A potem.  
— Pojadę do Ireny, muszę jej powiedzieć o tobie.

— Naprawdę?  
— Opełtałaś mnie, Zośka, i będziesz musiała mi pomóc.

— Pomóc? Dlaczego?  
— Jesteśmy bardzo młodzi. Wiele spraw musimy rozwiązać.

— Na przykład?  
— Dostać maturę. Zacząć pracować. Wejść w życie.

— Trujesz.  
— Nie. Mówię poważnie.

— A Irena?  
— Wszystko skończone.

— Słowo?  
— Słowo.

— Pamiętaj.

giem Niemna był stary, z gęstym podszyciem, o niewyraźnych ścieżkach. Na Irenę natknął się w momencie, gdy wychodziła z wody; była opalona na Mulatkę, skrzyła się kroplami wody w słońcu. Patrzył na nią z radością. Pocałowali się. W chwilę później płynął z Wilkiem wzdłuż brzegów Niemna. Po drugiej stronie przebiegała granica litewska.

— Co tak długo marudziłeś u Szymkowiaka — spytał Wicek — ryzykowałeś, że Irena puści cię kantem. Pęta się tutaj młody ofik, kolega Romka.

— Dawno?  
— Prawie dwa tygodnie.

Z Ireną rozmawiał w dwa dni później. Wiadomość z adoratorem była prawdziwa, Irena nie ukrywała nowego uczucia.

— Sama nawet nie wiem, jak to się stało. Nie powiem, bym się zakochała, lecz imponuje mi.

Milczał. Wykonał jakiś niepotrzebny gest ręką. Lekceważenia? Zaskoczenia?

— Nie martw się.

Znowu tylko gest. Wszystko wydało mu się nagle zbyt łatwe.

— Nie szkoda ci? — spytała Irena z pewnym odzieniem zawodu w głosie.



WŁODZIMIERZ SOKORSKI

## ZOSTAĆ SOBĄ

Ze Stachem rozmawiał dopiero przed wyjazdem. Jego przywiązanie do siostry było zaskakujące.

— Nie możesz zawieść jej zaufania.

— Nie ma między nami słów miłości.

— A jakie?  
— Przyjaźni.

Do Druskiennik pojechał przez Białystok. Pociąg nie był przepelniony. Sezon się kończył. Lasy mijają go za oknem leniwie, nawet wspomnienia stawały się niepotrzebne, rozproszone w dniach, które nie zawsze mógł sobie wytłumaczyć. Co powie Irenie? Miłość Zochy była prawdziwa, może nawet rzetelna. Dziwne słowo. Ale jeśli już je stosować, to wobec Zośki w ogóle. Ich przyjaźń? Żalona próba, własnego usprawiedliwienia. Irena była daleko, lecz nie obojętna. Zbyt łatwo chciał obie sprawy pogodzić.

Do Druskiennik przybył o późnym zmierzchu. Ojciec mieszkał na Górnym Zalesiu, daleko za parkiem; Marcinkowscy — na przeciwnym brzegu w Pogance, niedaleko rzeczki o tej samej nazwie. Udał się tam rankiem po krótkiej kąpieli z ojcem w Niemnie. Stary Targowiak o nic syna nie wypytwał; cieszył się, że w Nartułach zmęźniał i się opalił. Cenil Stacha Szymkowiaka za jego poważny stosunek do życia, ponadto zasadę niewtrącania się do przyjaźni młodych.

Marcinkowskich w domu nie zastał, poszli na plażę. Las nad brze-

— Jestem za młody, by żałować.

— Uwiodła cię Zocha?

— Nie powinno cię to interesować.

— Mylisz się. Sądzę, że zostanie przyjaźni. Zresztą Marcina wysyłają do garnizonu w Nowym Sączu. Postanowiliśmy się zaręczyć, lecz jaką to ma przyszłość? Dwa lata do matury, sam rozumiesz?

— Nie potrafię nikogo zastąpić.

— To prawda. Ale czy musisz zapomnieć?

Zmierch opadł na drzewa. Słońce tkwiło czerwona plamą na horyzoncie. Irena pochylała się i wyjęła z mchu borowika.

— Usiądziemy?

Nie oponował. Nawet mu się podobala w swoim zakopotaniu.

— Powiedz mi, Adamie, co to jest miłość, czy do prawdy tylko namiętność, czy też przywiązanie?

— Nagła potrzeba, której nikt wytłumaczyć nie może. Wspólne sprawy. Ale to przychodzi później.

— Z Marcinem nie potrafiłam kochać się, jak z tobą. Mówiłam ci, imponował mi. Czulałam niepokój. Byłam pewna, że mnie zdradzisz z Zochą. Chciałam mieć uczucie prostej satysfakcji.

— Miłość spełnia się sama. Nie mamy na to wpływu.

— Z Zochą również?

— Zocha jest uczciwa.

— Uważasz, że byłam wobec ciebie nieuczciwa? A ty?

— Zapewne i ja. Stach jest wier-

ny kobiecie, której nigdy nie do-

tknął, a ja czy ty nie potrafiliście być wierni sobie.

— A co to jest wierność?

— Prosta lojalność. Nie wiem jednak, czy istnieje?

— Przypadkowe zbliżenie i tyle zasad? Nie przesadzasz?

— A jednak coś się skończyło. Wrócić nie można.

— Można, lecz po co?

— Tak, masz rację, chodźmy.

Płatali się w mroku, łamiąc gałęzie i szukając wyjścia. Irena wpadła w panikę, że zabłądziła. Księżyc nie wschodził, noc stawała się ciemna. Dopiero brzeg Poganki wyprzedził ich na drogę. Pożegnali się przed domem Marcinkowskich.

W dwa dni później Adam wyjechał do Warszawy. Kolegów z gimnazjum Zamojskiego odnalazł bez trudu. Julek Skrzyński mieszkał na ulicy Szkolnej, i tam się wszyscy spotkali. Przysłuchując się ich rozmowie, Adam w pewnej chwili zdał sobie sprawę, do jakiego stopnia uległ prowincjonalnej atmosferze. Taki czy inny rząd, upadek premiera Sikorskiego, potem, po wypadkach krakowskich koalicji Chjeno-Piasta z Witosem i Kiernikiem na czele, wreszcie rząd Władysława Grabskiego, w polu widzenia Łomży nie istniały. W Warszawie natomiast urastały do zagadnień kluczowych dla przyszłości Polski. Czy Piłsudski stanie się idolem lewicy, czy zagra własną kartę — co to mogło obchodzić nawet Szymkowiaka? A tutaj w tej jednej tylko sprawie omal nie doszło do rozłamu. Zapytany o zdanie — Adam ograniczył się do gestu, który równie dobrze mógł oznaczać obojętność, co niewiarę.

— Może jesteś komunistą — zapytał w pewnej chwili Julek.

— Szukam polskiego Lenina — odpowiedział enigmatycznie Targowiak.

— Razem z Czerezwycząjką Dzierżyńskiego?

— To już nie zależy od nas.

— A od kogo?

— Od klasy robotniczej.

Efekt okazał się trafny, mimo że przez Adama nie zamierzony. Poparł go wysoki, szczupły blondyn, który przedstawił się jako Władek Górski i zaprosił go do siebie.

Nazajutrz Adam odszukał jego kawalerkę na szóstym piętrze przy ul. Koszykowej. W małym pokoju zastał jeszcze drugiego chłopca. Jak się później dowiedział, nazywał się Antek Boniecki i był seniorem całej grupy uniwersyteckiej, zbliżonej na UW do ZNMS „Życie”. Dyskusja, która się łatwo nawiązała, obracała się głównie wokół spraw rewolucji polskiej i jej narodowych aspektów.

W pewnej chwili Antek zapytał: — Nie przeraża cię słowo „komunista”?

Ironiczny, jak się Adamowi wydawało, uśmiech był drażniący.

— Nie jestem komunistą — oświadczył stanowczo.

— Mimo że szukasz polskiego Lenina?

— Lenin w Polsce nie musi być komunistą.

Nie rozumiano go i pominięto jego uwagę milczeniem. Adam pożegnał się i wyszedł. Przed wyjazdem z Warszawy wpadł do Julka Skarżyńskiego i umówił się, że gdy powstanie w Łomży koło samokształceniowe, da mu o tym znać listownie.

W kilka dni później uroczyste otwarcie roku szkolnego w Łomży zgromadziło w auli gimnazjalnej wszystkich profesorów i uczniów. Dyrektor Obida przeczytał list ministra, delegat kuratorium wygłosił krótkie przemówienie, potem wysłuchano referatu profesora Piętaka o współczesnych celach Polskiej Rzeczypospolitej. Wieczorem była zabawa obu gimnazjów państwowych. Adam tańczył głównie z Zochą. Pod koniec wieczoru poprosił do walcu Irenę.

— Myślałam, że zapomniawszy?

— Wyglądaś uroczo.

— Tańczyłeś z Zochą cały wieczór.

— Co słyszać u ciebie?

— Wpadnij, pogadamy.

— Marcin nie przyjechał na otwarcie roku?

— Musiał stawić się w garnizonie. Byłeś podobno w Warszawie?

— Patrz, Stach tańczy z profesorem Łacką.

— Czy to zaraz musi coś znaczyć?

— Zapewne nic, prosta ciekawość.

historia i dzień dzisiejszy

Biaystok  
Nieopra  
miesia p  
powstaje  
nej. Znow  
prowadzki  
kojem prz  
jest roze  
placówką,  
zapaleńców  
sprawa up  
zy na ser  
dzie, któr  
ko techniki  
dobrobyt  
Byłam i  
cercie orki  
odbył się  
pacił całki  
półowor  
ludzie, ab  
nej w P  
spontanicz  
utwory. O  
cercie by  
wodą łom  
na. Został  
przez wice  
wcu będzi  
nowo bud  
Maż już t  
Bożena i  
cy) i jej  
Białogost  
— Wyśc  
takiej dzi  
dostał du  
— Dużaj  
razie o p  
tylko na  
wzrosnia  
taką sama  
ku.  
— No,  
Przecież  
Dlaczego  
was w nie  
— Urok  
sam, jaki  
nał mnie  
trzeba b  
podstaw  
rzy odwa  
orkiestre  
pomóc? T  
znależ st  
zyków, kt  
mówisz, w  
tacy, co r  
tować.  
— Wari  
siał liczy,  
przecież t  
Białystok  
Jestem  
zamordow  
szech stra  
test prze  
pówięcił  
tym przy  
lityka w  
jest.  
Maj w  
ro teraz  
przywiózł  
zy. Pachn  
trzeba po  
Wczoraj  
cie w P  
Święta. K  
sto w ods  
rządne, a  
to.  
Podczas  
kiedy, j  
mieście. Z  
Doznałam  
pięknej, g  
nie przy  
właczyli  
Kultury S  
pieśni  
chcesz od  
ganów i l  
szczyzną  
ciola, spec  
roznowor  
wało mni  
nie ucz  
owarzyć  
Gdy pożeg  
Byłam  
prawdopo  
Błoki ład  
tzy jeszc  
księżycow  
rozmaicor  
Kiedy bę  
Łomża,  
No, jes  
regionu”,  
prowadzk  
sa kłopot  
nowym r  
wieka og

Białystok, kwiecień 1978 r.

Niepoprawny ten mój mąż. Od miesiąca pracuje w Łomży w nowo powstałej tam orkiestrze kameralnej. Znow przed nami widmo przeprowadzki. Aż dziw, że z takim spokojem przyjął tę wiadomość. Mąż jest rozentuzjzmowany tą nową placówką, powołaną przez grupę zapaleńców łomżyńskich, którym sprawa upowszechniania muzyki leży na sercu. To pięknie, że są ludzie, którzy rozumieją, że nie tylko technika, przemysłem podnosimy dobrobyt w kraju.

Byłam na inauguracyjnym koncercie orkiestry łomżyńskiej, który odbył się w sali WDK. Koncert wypadł całkiem niezły, zważywszy, że połówę orkiestry stanowią młodzi ludzie, absolwenci Szkoły Muzycznej w Białymstoku. Publiczność spontanicznie odbierała poszczególne utwory. Orkiestra bisowała. Po koncercie było spotkanie z wicewojewódą łomżyńskim przy lampce wina. Zostałam osobiście zapewniona przez wicewojewódę, że już w czerwcu będziemy mieli mieszkanie w nowo budowanym osiedlu Jantar. Mąż już tam był i oglądał bloki.

Bożena R. (moja koleżanka z pracy) i jej mąż są zdumieni zamianą Białegostoku na Łomżę.

— Wyście chyba powariowali. Do takiej dziury? Chyba że twój mąż dostał dużą gażę.

— Dużą? Wyobraź sobie, że na razie o połowę niższą, bo pracuje tylko na pół etatu, a dopiero od września będzie na całym etacie, z taką samą gażą, jak w Białymstoku.

— No, to was nie rozumiem. Przecież mieszkanie macie i tu. Dlaczego wyjeżdżacie do Łomży? Co was w niej pociąga?

— Urok pionierskiej pracy. Taki sam, jaki trzydzieści lat temu ciągnął mnie na szczecińską wieś, gdzie trzeba było zaczynać oświatę od podstaw. W Łomży są ludzie, którzy odważyli się powołać do życia orkiestrę kameralną, jakże im nie pomóc? Ty myślisz, że łatwo będzie znaleźć stałego dyrygenta dla muzyków, którzy zechcą siedzieć, jak mówisz, w tej dziurze? A jednak są tacy, co ryzykują. I kto wie, czy to ryzyko z czasem nie będzie procentowało.

— Wariaci! Idealisci! To się dzisiaj liczy, co przynosi zysk, a w przyszłości tracicie.

Białystok, maj 1978 r.

Jestem taka przygnębiona. Jednak zamordowano Aldo Moro. We Włoszech strajk powszechny jako protest przeciw bezsilności rządu, że poświęcił swego człowieka. A co w tym przypadku można zrobić? Polityka wymaga ofiar, tak to już jest.

Maj w tym roku chłodny. Dopiero teraz kwitnie czereśnia. Mąż przywiózł mi cały bukiet z Łomży. Pachnie i przypomina mi, że trzeba powoli się pakować.

Wczoraj znow byłam na koncercie w Łomży. Dziś inauguracja Święta Kultury Staropolskiej. Miasto w odświętnej szacie czyste, porządne, aż zaczynam je kochać za to.

Podczas gdy mąż miał próbę orkiestry, ja wałęsałam się nieco po mieście. Zaszłam nawet do katedry. Doznałam wiele wstrząsów w tej pięknej, gotyckiej świątyni, odświętnie przystrojonej, bo księża też włączyli się do obchodów Święta Kultury Staropolskiej. Śpiew starych pieśni Kochanowskiego „Czego chcesz od nas, Panie”, dźwięki organów i ludzie mówiący ładną polszczyzną (gdy wychodziłam z kościoła, specjalnie przysłuchiwałam się rozmowom), wszystko to podbudowało mnie. Powoli zaciera się we mnie uczucie przygnębienia, które obwarzyło mi od tamtych dni, gdy pożegnałam Szczecin.

Byłam na osiedlu Jantar, gdzie prawdopodobnie mamy mieszkać. Bloki ładne, kolorowe. W budowie trzy jeszcze, ale dookoła wprost książkowy krajobraz, bajecznie urozmaicony kraterami rozkopów. Kiedy będzie ładnie, zielono?

Łomża, październik 1978 r.

No, jesteśmy już „przyklepni do regionu”, łomżyńscy. Koszarz przeprowadzki mam za sobą. Teraz masa kłopotów z urządzeniem się w nowym mieszkaniu. Rozpacz człowieka ogarnia, gdy widzi, jak wszy-

stko tu po partacku zrobiono: krzywo drzwi i okucia, nierówno ściany i podłogi, zaszmarowane ramy okienne (trzeba od razu malować, a nigdzie nie można dostać farby olejnej), wszędzie szczeliny na palec, stąd przeciągi. Tyle pieniędzy nas kosztowało to nowe mieszkanie, zapożyczyliśmy się w Związku Nauczycielstwa Polskiego na dwa lata, i nie ma człowiek satysfakcji. Przecież nie wymagam cudów, tylko uczciwej pracy, a ciągle spotykam się z szachrajstwem, z przekupstwem, z naciąganiem innych. Wczoraj chodził jakiś typek i polecał uszczelnianie okien. Jak idiotka zgodziłam się i co? Zrobił byle jak, taśma się odrywa, kaleczy mi ręce, gdy otwieram okna balkonu. Wziął za „usługę” 750 złotych!

Mąż w niczym mi nie pomaga, żyje swoją orkiestrą i pracą w szkole muzycznej (dostał kilku uczniów do klasy wiolonczeli). Przybiega z prób pełen entuzjazmu, opowiada o programie, który realizuje, cieszy się z muzykowania, któremu oddaje się z całym zaangażowaniem. Na jak długo wystarczy mu tego entuzjazmu?

A na mojej głowie (i emeryturze) cały dom i utrzymanie rodziny, bo przecież pensja męża cała idzie na spłacanie długów. A do tego wszystkiego doszła teraz troska o syna Wiktora, który został

konie. A teraz? Witek opowiedział, że rozpaczyliwie wyglądały fiaty, syrenki i inne samochody, pozostawione na śnieżnych szosach. Ciekawam, jak przebrniemy przez zaśnieżone osiedle, skoro nie ma sprzętu do odśnieżania ani dozorców.

W pokoju miło i ciepło. Choinka do sufitu. Smakowicie pachnie bigos i kulebiak. Akurat przed chwilą wyjęłam go z prożiża, pokrajałam i ułożyłam na półmisku. Na piecu dogotowuje się bulion. Staram się podtrzymać tradycje rodzinne, przygotowując te świąteczne potrawy, które niegdyś szykowała mama. Nie mam wprawdzie paszetu z zająką, ale są faworki i jest szampan, którym powitałam Nowy Rok. Czy miniony rok był dobry dla mojej rodziny? Raczej tak. Ani mąż, ani dzieci nie chorowały (tylko ja — trochę). Najważniejszymi wydarzeniami były: moje przejście na emeryturę (wcześniejszą) i zmiana miejsca zamieszkania. Z krajowych najmocniej przeżyłam lot pierwszego Polaka w Kosmos i wybór pierwszego Polaka na tron stolicy papieskiej. Od wielu lat jestem niepraktykująca, ale zdaję sobie sprawę, że Kościół i religia to ogromna siła, jednocząca ludzi różnych narodów. Oby rok 1979 był rokiem pokoju.

wykonuje swój zawód: ani uczniom, ani rodzicom, ani nawet dyrekcji. A przecież jeden jest program nauczania w małej Łomży, Warszawie, Krakowie czy Szczecinie, więc i jeden powinien być poziom.

Łomża, marzec 1979 r.

Życie toczy się wartko i jest czasem takie brzydkie i mętne, jak te brudne strugi wody z topniejących śniegów, zalewających chodniki i ulice łomżyńskie, że wprost przejść nie można.

Niedawno byłam na spotkaniu w WDK z okazji Dnia Kobiet. Przebiegało ono w przyjemnej atmosferze, na towarzyskiej wymianie zdań, przy śpiewie patriotycznych pieśni, lampce wina i całej masie humoru. W rozmowie ze starszymi działaczami kultury, bibliotekarkami, instruktorami z WDK, zorientowałam się, że tutaj sporo czasu poświęca się upowszechnianiu czytelnictwa. Gdy ubolewałam, że zdrowie nie pozwala mi aktywniej włączyć się do jakiegokolwiek konkretnej pracy, jedna z działaczek powiedziała: — Pani już dość się napracowała. Teraz niech młodzież pokaże, co potrafi. Na pewno potrafią, tylko nie chcą, są obojętni na wszystko i na wszystkie.

Łomża, kwiecień 1979 r.

Otrzymałam list od kolegi, że ma zamiar odwiedzić mnie w czerwcu lub lipcu z japońskim esperantystą. Ładne rzeczy. Jak im pokażę Łomżę, a szczególnie nasze osiedle: te rozkopy, rozwalone chodniki, kupy piasku, potłuczonych płyt chodnikowych, a szczególnie ten brud? Brak pojemników na śmieci, a jeżeli są — to i tak ludzie wysypują byle jak i byle gdzie. Wiatr roznosi papierzyśka po całym osiedlu. Okropność.

Już w czasie świąt myślałam, że spale się ze wstydu. Przyjechał przyjaciel ze Szczecina, a tu akurat woda zalała piwnice. Smród, jak w klozecie. W naszym bloku mieszkają przeważnie prymitywni ludzie, nie umiejący korzystać z urządzeń sanitarnych, zatykają rury kanalizacyjne i stąd takie awarie. W piwnicy zmarnowały się ziemniaki, zalane fekaliami. Weki stały dość wysoko na szafce, ale paczki z czapismami już do niczego — wszystkie przemokły. Klatki schodowe brudne, nikt nie sprząta. Zmiotłam kilka razy, co przyplaciłam chorobą, bo większy wysiłek powoduje u mnie szybkie pocenie się, a później kaszel, duszności przez całe noce. Na klatkach powyrwano wyłączniki, nie można zapalić światła. Człowiek potyka się w ciemnościach.

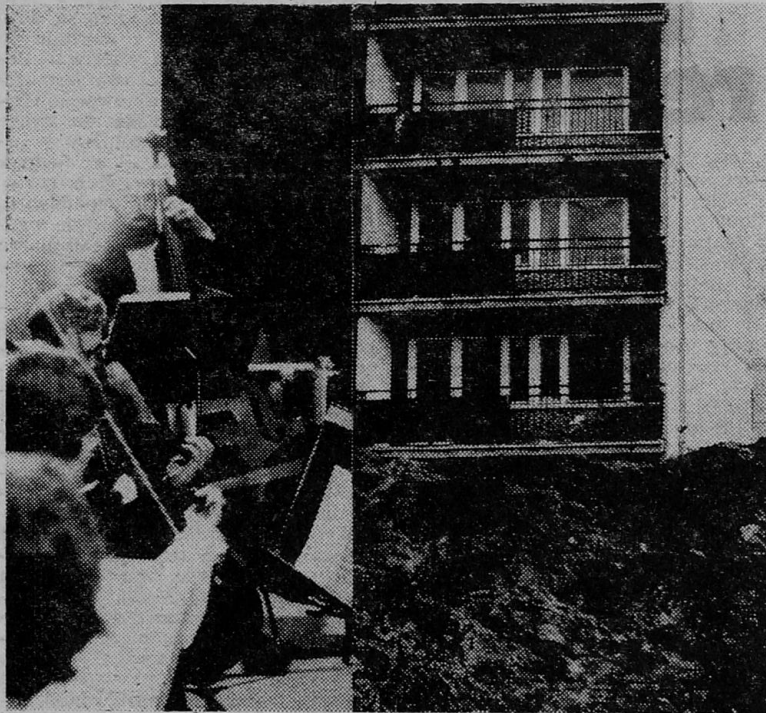
Wszyscy żyją dla siebie. Zamykają się w kręgu własnych spraw, a wolny czas spędzają najczęściej przy butelce wódki. Na takich idiotów, jak ja i mąż, patrzą z politowaniem, jak na dziwolągów, którzy porywają się z motyka na słońce.

Niedawno, gdy wyszłam z miotłą, aby trochę pozamiatać błoto i piasek na rozwalonym chodniku przed domem, jakaś kobieta z trzeciej klatki zawołała: — U nas też nie zamiatane od miesiąca, przewróci się można od śmieci. Kiedy pani posprząta?

Zachichotałam w duchu z absurdalności sytuacji: dozorca-magister. Ale gdyby nie słabe zdrowie, nie wstydziłabym się wziąć miotły w garść i uporządkować podwórza. Tego nauczył mnie ojciec jeszcze w dzieciństwie: szanować każdą pracę przynoszącą ludziom pożytek. Ojciec mój wychował nas ośmiorną na uczciwych, pracowitych i zaangażowanych społecznie ludzi, choć nasza postawa nie znajdowała powszechnego uznania; częściej spotykała się z ironią lub współczuciem. Nie dorobiliśmy się willi, nie dorobiliśmy się samochodu. Mamy natomiast skromne mieszkanie, w którym półki uginają się od książek, a naszym całym kapitałem jest wiedza, którą zawsze gotowi jesteśmy się podzielić. Mamy coś jeszcze bardziej cennego: umiłowanie ojczystego kraju. Nieważne gdzie, w mieście dużym czy małym, w wielkiej metropolii czy małej „dziurze”, wyśmiewanej pogardliwie przez innych, pracujemy nie szcędząc sił, bo przecież to „wszędzie” jest w Polsce.

# MOJA DROGA DO ŁOMŻY

GENOWEFA CHYCZYŃSKA



w Białymstoku, bo nie chce przenieść się tutaj, do budowlanki. Pragnie kontynuować naukę w Technikum Geodezyjnym. Internatu nie dostałam. Z trudem znalazłam jakąś stancję i zapłaciłam wyżywienie w stołówce Szkoły Muzycznej. I jak tu myśleć o twórczym, radosnym życiu dla wielkiej sprawy, jaką jest kultura muzyczna i jej rozwój w Łomży.

Łomża, Sylwester 1978 r.

Przygotowałam już sylwestrową kolację. Mąż ubiera się „uroczyście”. Dzieci siedzą przy telewizorze. Na dworze szaleje zadymka śnieżna. Witek przyjechał dopiero dzisiaj rano o ósmej, choć wyjechał wczoraj o piętnastej z Białegostoku. Pociąg do Śniadowa „szedł” ponad sześć godzin. Witek całą noc przeczekał w zimnej poczekalni na autobus, ale i autobusu nie było. Złapał jakąś „okazję”, czyli małego fiata, prowadzonego przez kobietę, jednak po kilku kilometrach „okazja” ugrzęzła w śniegu a Witek ostatecznie przyjechał autobusem z Łomży, który zawrócił, ponieważ drogi są nieprzejezdne. Szalony atak zimy. Znam takie zimy na Wileńszczyźnie, ale wtedy były sanie i

Łomża, luty 1979 r.

Mąż wrócił ze Szkoły Muzycznej rozgoryczony. Bumelanctwo uczniów (ani jedna nie przyszła na lekcję) oraz beztroška i obojętność niektórych młodych nauczycieli o burzająco dogłębnie. Zauważyliśmy oboje, że nauczanie muzyki traktują tu niektórzy jako swoistą chałturę, a czyjeś zaangażowanie w tę pracę nazywają nadgorliwością. Już kiedyś ktoś mi też tak dogadywał. Jak się okazuje — niewiele się zmienia w naszej dydaktyce, tzn. ludzie się nie zmieniają. Mąż, objawiając klasę wiolonczeli, zabrał się do nauczania bardzo uczciwie, a to nie podoba się ani uczniom, ani ich rodzicom. Do tej pory miały one dobre stopnie, choć niewiele umiały. Gdy mąż dość ostro potraktował je na półroczu, obrażone panny zaczęły wracać do poprzedniego nauczyciela. Najbardziej boli fakt, że nikomu nie zależy na nauce, na umiejętnościach zdobywanych u kogoś, kto już ponad dwadzieścia lat

obyczaje



Nie wiem, czy w życiu społecznym i takimże słowniku jest słowo bardziej drażliwe i zarazem budzące tyle nieporozumień, co „prowincja”. Wyprowadzić się na prowincję? Nigdy! Mieszkać na prowincji? Głównie. I tak dalej. Słowo to, co prawda, należy do słownika już archaicznego, ale zawsze historycznie określonego. Najdawniej słowo to oznaczało dzielnicę rządzone przez Rzym; później dotyczyło niemal wszystkiego, co nie było stolicą; a najpopularniej — określa wiesz wobec miasta. W sensie politycznym oznaczało, że prowincja jest rządzona, a stolicą rządzi. Albo też: że miasto pełne jest uciech życia i udogodnień, o których na wsi nie słyszą. W obu rozumieniach jest to już dzisiaj starzyzna. Dlatego bywa w jednym przypadku zastępowane słowem „teren”, w którym tai się słuszne przecucie, że „metropolia” bez terenu nie istnieje, tak jak nikt nie może istnieć bez przestrzeni i powietrza. W sensie kulturalnym przeciwstawienie między prowincją a, pożałujcie Boże, metropolią jeszcze radykalniej utraciło jakikolwiek sens w epoce radia, telewizji, prasy, rozsiąanych wszędzie domów książki i tak dalej.

Wyznacznikiem prowincji staje się więc raczej coś zupełnie innego niż geograficzna odległość od centrum, bo ta w naszych czasach jest bardzo mało istotna — skoro, na przykład, w Polsce nie ma odległości, której by się nie dało w parę godzin pokonać. Pewnego razu przyjaciel ze Szczecina oświadczył mi ostro przez telefon, że chce się ze

# prowincja jako domek żółwia

mną wódki napić i ledwo, ledwo odstałem w kolejce czas potrzebny, żeby coś tam pod tą wódkę kupić i przygotować, a on już lądował na Okęciu. Zresztą jest w Polsce poza Warszawą co najmniej kilka miejscowości, których nikt za prowincję nie uważa. Więc na przykład Kraków, Zakopane, Sopot, ale i Kazimierz nad Wisłą, i sporo innych. Na czym to polega? Otóż na tym, że przewijają się tam sporo ludzi, a więc nie sposób ugrzęznąć w bagienku niesieniedziania i jednakowości. Ale przecież to względne, skoro dziś o tym wszystkim decyduje raczej nasza własna postawa. „Nowości” w każdym sensie dostarcza nam codziennie aż w nadmiarze każdy środek masowego przekazu, każda książka, która jest taka sama, niezależnie od tego, czy czytamy ją w Bibliotece Narodowej, czy pożyczamy z gromadkiego punktu bibliotecznego. Można być rozpaczyliwym prowincjuszem na warszawskiej Pradze (a czasem nawet na Nowym Świecie) i człowiekiem światowym w Kaczym Dole. Notabene: z autentycznym warszawskim Kaczym Dolem była cała historia, bo mieszkańcy tej letniskowej miejscowości tak się nazwy wstydzi, że zmienili ją na Międzywiesie (to od Centrum Zdrowia Dziecka). A więc jest to sprawa postawy.

Zaś nowi ludzie w nadmiarze — to sprawa bardzo luźna. W istocie

rzeczy mieszkańcy centrum warszawy mają wśród wielu innych obcych i obojętnych stałe miejsce zakupów, imitujące mniejszą społeczność. Wiem, jak się nazywa ekspedientka w sklepie spożywczym, kioskar, jakie ma kłopoty dzielnicowy i co się dzieje z dziećmi listonoszy. Musimy bowiem sobie imitować właśnie mniejszą przestrzeń, strawniejszy krąg ludzi. Pokój sypialny wielkości Sali Kongresowej byłby raczej małoprzytulny.

I jeszcze coś: poczucie prowincjonalności to lęk, że nie jestem modny, nienowoczesny, za to gorzej poinformowany; to kompleks wobec „innych”. Przeświadczenie, że nie muszę przecież we wszystkim wzorować się na innych, że wyznawane przeze mnie wartości są wartościami autentycznymi — raz na zawsze uchylają poczucie prowincjonalności. Jeśli więc to, co robię, robię dobrze — mogę zawsze i gdziekolwiek powiedzieć, że prowincja jest to miejsce, w którym mnie nie ma. A — o paradoksalne! — im mniejsza jest miejscowość, tym większy i ważniejszy człowiek, który w niej mieszka. Chyba że ktoś lubi czuć się stłamszonym i zdominowanym. Ale na psychiatrii, kompleksie niższości i masochizmie to ja już się nie znam.

PIOTR KUNCEWICZ

refleksje

Era atomowa trwa dopiero — jeśli za jej początek przyjąć zniszczenie Hiroszimy — trzydzieści pięć lat. W istocie zaś mniej, ponieważ technika atomowa musiała przeżywać kilkunastoletni okres niemowlęcy, zanim nastąpiła się na tyle, aby odgrywać zauważalną, a potem liczącą się rolę w gospodarce państw najsilniej rozwiniętych. Uwzględniając tę poprawkę — możemy stwierdzić, że obecnie dobiega końca pierwsze ćwierćwiecze ery atomowej.

W ciągu tego niedługiego okresu w samych tylko Stanach Zjednoczonych uzbierało się już dwanaście tysięcy ton najniebezpieczniejszych odpadów promieniotwórczych. Jest to zużyte paliwo jądrowe: wyjęte z wnętrza reaktorów pręty paliwowe w osłonach stalowych i cyrkonowych. Przechowuje się je w basenach z wodą, grubo obudowanych betonem, a zlokalizowanych na ogół przy elektrowniach jądrowych. Natomiast całą ilość promieniotwórczych odpadów w USA (przeważnie w postaci płynnej) ocenia się na trzysta tysięcy ton. Są one zmagazynowane w rozmaitych zbiornikach atomowych śmieci, czyli w tzw. mogiłnikach.

Dotychczas próbowano usunąć je przez zatopienie w oceanie, ale wywoływało to uzasadnione protesty międzynarodowej opinii, ponieważ w przypadku uszkodzenia pojemników prądy morskie mogą rozwieść skażenia promieniotwórcze po wszystkich wodach naszej planety. Próbowano magazynować je w wyeksploatowanych kopalniach na głębokości kilkuset, a nawet ponad tysiącmetrowej, ale i to — wobec nieobliczalnych ruchów wód podziemnych, a zwłaszcza wobec niebezpieczeństwa trzęsienia ziemi — nie gwarantuje bezpieczeństwa. Jedynym radykalnym sposobem usuwania radioaktywnych odpadów byłoby wystrzelanie ich poza Ziemię, tak

## ZANIM SIĘ SKOŃCZY XX WIEK

# bez reszty

np., aby spadły na Słońce, które by nawet nie poczuło dodatkowej porcji promieniotwórczości. Kosztowałyby to jednak tak piekielnie dużo, że postawiliby to pod znakiem zapytania w ogóle opłacalność techniki atomowej.

Obecnie najwięcej szansa na realizację ma intensywnie badany, oryginalny projekt umieszczania odpadów atomowych pod dnem oceanicznym, w rejonach nieaktywnych sejsmicznie. Przewiduje on ładowanie odpadów do stalowych pojemników w kształcie cygar, czy raczej torped o wadze od trzech czwartych do półtorej tony, i zrzućcie ich z wystrzelaniem ich ze statków tak, aby uderzały o dno z prędkością ponad 150 kilometrów na godzinę. Dzięki temu mogłyby wbić się w osady denne na głębokość kilkudziesięciu metrów i tam spocząć na wieki, jako „wkrety” w skalę — bo osady denne zwolna zmieniają się w skalę, wciąż grubiejącą od góry pod wpływem narastania coraz nowych warstw.

Jest to sposób wprawdzie niezbyt zgodny z międzynarodową konwencją z roku 1972, zakazującą umieszczenia odpadów radioaktywnych w morzach, której sygnatariuszem są USA, ale amerykańscy prawnicy są zdania, że można się spierać na ten temat, czy określenie „w morzach” dotyczy tego, co się znajduje pod dnem.

Piszę o tym nie po to, żeby stra-

żyć Czytelników jeszcze jednym spośród licznych, grozących nam niebezpieczeństw cywilizacyjnych, lecz dlatego, że problem odpadów promieniotwórczych wydaje mi się dobrą ilustracją jednej z kapitalnych sprzeczności naszych czasów. Pomysłmy: technika jądrowa jest niewątpliwie techniką najnowocześniejszą i zarazem przyciąga do swego kształtowania najwybitniejsze umysły naszej epoki — a jednak wszystkie z projektowanych sposobów unieszkodliwienia odpadów są rażąco prymitywne. Odnosi się wrażenie, że cała energia intelektualna została skierowana na intensywne wykorzystanie możliwości, jakie stwarza technika atomowa, i zabrakło jej na rozwiązanie problemu odpadów; że uczeni i inżynierowie zajęli się tylko tym fragmentem procesu przemian jądrowych, który daje największe korzyści. A przecież jedynie sensowne wydaje się sterowanie całym procesem — od eksploatacji złóż rud pierwiastków promieniotwórczych do zwrócenia ziemi unieczynnionych pozostałości.

W tym przypadku sprzeczność jest rażąca — dotyczy techniki znajdującej się w czołowie, w awangardzie postępu cywilizacyjnego. Ale przecież jest to sprzeczność wszechobecna, bo w dosłownie każdej dziedzinie koncentrujemy uwagę tylko na fragmencie procesu przekształcania materii, fragmente najbardziej opłacalnym, ignorując jego całość, a zwłaszcza zakończenie. Prowadzi to nie tylko do spieniężenia hałd odpadów, ale do zatrucia powietrza, wody, gleby. Ba, co więcej, do marnotrawstwa na wyspiskach śmieci, surowców, których coraz mniej w naturalnych złożach. Zwyczaj ten staje się coraz silniej odczuwalnym hamulcem rozwoju cywilizacyjnego.

ZBIGNIEW SIEDLECKI

1.  
„Druga moc leśmianowskiego dzieła to pochwytność niepochwytnej w słowie; to, co sprawia, że — powiada Heidegger: „Nichts nichte — nic nicestwieje. Potęga to mniejsza niż stworzycielska rzeczywistość, czyli kracjonistyczny realizm. Potęga zaiste stwórcza: wywoływa z nicości — nie świat, ten przecież już jest — ale Coś, co pochwytność by Nic, czyli ustawiczną znikliwość rzeczy, a nawet ich brak. Również wiele, a może więcej znajdujemy poezji Leśmiana utworów, w których jest mowa raczej o znikaniu niż o obecności i trwaniu.”

Przypomniałem sobie te słowa Juliana Przybosa, wypowiedziane na VI Kłodzkiej Wiosnie Poetyckiej w trakcie oglądania spektaklu wykonaniu — działającego w Wągrowie Domu Kultury w Łodzi — Teatru Plastycznego: „Seniory”, według tekstu Bolesława Leśmiana.

Świat poezji Leśmianowskiej, z wzięcia świata poza światem, jest jedyny i niepowtarzalny. Stąd też nie mieszki ludzi, którym kazano parę minut stać pod drzwiami i słuchać z głośników następujących słów: „Uwaga, uwaga /Rośnie Zwierzęta Ludzie! /Dziś skoro /wrtargnęły do naszych rzek i lań obce mikrowojska /wyposażone /nieznane nam dotąd /śmiercionośne broń”. Dźwięki te wzbudziły mi szczerą uczucia. Bawiła, a może i nerwowała, zbyt długa przerwa między niefortunnym prologiem, właściwym rozpoczęciem spektaklu, który — mimo licznych nieporozumień i zapożyczeń z różnych państw teatralnych działań — był niezwykle sugestywny. Realizatorką przedstawienia, Anna Maria Latos, nie miał zajmować się pseudoogardową inscenizacją, powinna chyba każdą swoją następną spektakl poprzeć głębszą analizę tekstu.

2.

Kiedyś telewizja emitowała drugi program dzień autorstwa Andrzeja Łapickiego. Przypomniałem wiele programów i spektakli tego znakomitego aktora i reżysera. Jedno z przedstawień, „Pogarda” Alberta Morawia stało się dla mnie punktem wyjścia do niejednej gorącej refleksji. Pogarda — jak to uczucie funkcjonuje dzisiaj.

Obecnie rzadko, niestety, pojawia się ona tam, gdzie powinna. Czasem autorytetem cieszą się u nas ludzie, którzy np. dokonują nadużyc. Słyszysz wówczas słowa podziwu: „Ten mógłby się urządzić”. Natomiast nikt nie gargażda się tym, co służy na szacunek lub współczucie — starością, ubóstwem, niepełnością.

3.

Wilhelm Szewczyk jest pisarzem przekornym, a jednocześnie w swoim swoim zainteresowaniem. Nie małe od początku swojej działalności literackiej, którą rozpoczął roku 1937 poematem „Hanyta”, w którego pracach spłata się tematyka i składowa z zainteresowaniami problemami niemieckimi. Ten poeta, prozaik, publicysta, eseista, tłumacz literatury niemieckiej i jej wyborczy znawca (autor książki „Literatura niemiecka XX wieku”), do niedawna nie zajmował miejsca w naszej literaturze, na jakie naprawdę zasługuje. Dopiero „Anioły z lodu” książka wydana w roku 1978 przez Wydawnictwo Poznańskie, zwróciła na niego uwagę krytyki i czytelników. Dla wielu ta publikacja była zaskoczeniem: zafascynowała i przyciągnęła; przez jej karty przewija się wiele znanych postaci z dziedziny literatury i sztuki, że wymienię choćby E. Muncha, Henryka Ibsena, Knuta Hamsuna czy Dagmara Stanisława Przybyszewskich. Nie dawno ukazała się nowa książka tego autora: „Marnotrawstwo” serce czyli Lou Andreas-Salome”. Książka wprowadza czytelnika w zawrotną intrygującą świat, związany z kulturą Fin de siècle'u. Postać Lou Andreas-Salome jest mało znana dla składowych czytelników, a przecież chodzi o jedną z najwybitniejszych postaci życia kulturalnego i naukowego tamtego okresu. Nie można dodawać, że książkę czyta się z takim samym tchem.

JAN KULI



Rys. Władysława Mścichowskiego



## spięcia

Na próżno w okolicach Wąsoszki wypatrywać drogowskazów. Każda droga to niewiadoma, każde skrzyżowanie to egzamin z intuicji. Trafisz dobrze — dojedziesz, wybierzesz źle — poznasz jeszcze jeden piękny zakątek naszego województwa.



Sezon turystyczny w pełni: remont restauracji „Jagienka” w Grajewie, nie dokończona budowa placu biwakowego na trasie Stawiski-Szczuczyn (ustawiono ławki z daszkami, ale wszystko tonie w trzydziestocentymetrowej warstwie piasku), rozgrzebana droga w Marianowie (fragment szlaku turystycznego na Mazury).



Niedawno z Ośrodka Zdrowia w Nowogrodzie pospiesznie odprawiono przybyłą ze wsi matkę z dzieckiem, bowiem pani doktor stomatolog spała i płacz dziecka, spowodowany bólem zęba, mógłby ją przypadkiem zbudzić.



Jedynym dowodem na to, iż Wytwórnia Wód Gazowanych WSS w Łomży wytwarza napoje rzeczywistości gazowane, jest napis na etykiecie.



Jeśli chcesz kontemlować malowniczą dolinę Narwi — udaj się na taras „Kurpianki” w Nowogrodzie. Jeśli natomiast pragniesz się posilić — musisz wejść do sali tej restauracji. Już tam personel dba, abyś nie miał obu przyjemności jednocześnie.



Na wystawie sklepu „Jantar” przy placu Kościuszki w Łomży znajdziesz — jeśli uda ci się przeświecić wzrokiem obficie zakurzone szyby — dużo bubi i jeszcze więcej martwych much. Brakuje jedynie estetyki i propozycji handlowych.



Nadal do zagospodarowania jest skarpa nad Narwią przy ul. Zjazd. Trudno zgadnąć, dlaczego handlowcy uparli się na — zdewastowany już — plac przy amfiteatrze.



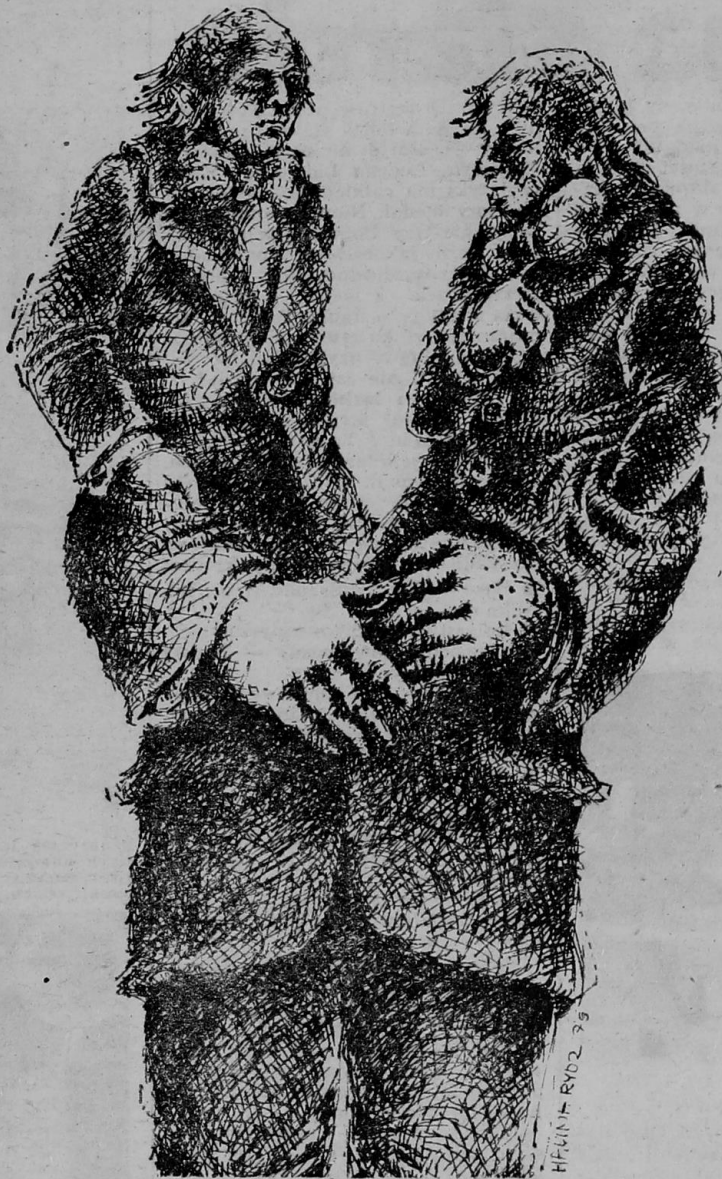
Zmotoryzowanych mieszkańców osiedla Jantar w Łomży nie trzeba namawiać do czynów społecznie użytecznych. Sprawnie i ochocho usunęli oni słupki, postawione przez administrację osiedlową, które przeszkadzały im w poruszaniu się mechanicznymi rumakami po trawnikach i chodnikach.



Na skutek braku uzgodnień kompetencyjnych miasta łomżyńskie cierpią na plagę bezdomnych psów. Proszę władz miejskich — one zagrażają zdrowotności mieszkańców! Proszę Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami — te biedactwa są głodne!



Dopisek „Uniwersalny” upoważnia Rzemieślniczą Spółdzielnię Elektryków w Warszawie do pobierania za każdy przerywacz kierunkowskazów po 176 złotych. Identyczne przerywacze w handlu uspołecznionym kosztują tylko 69 złotych. „Uniwersalne” ponadto szybciej się przepalają. Do nabycia: stacja CPN w Łomży.



Halina Rydz



HALINA RYDZ 79

# marzenia na starcie

Powiedzieć, że wszystko jest gotowe — to stanowczo za mało. To już trwa! Znicz na Centralnym Stadionie Olimpijskim w Moskwie zapłonął co prawda 19 lipca, ale przecież w całym mieście wyczuć można atmosferę igrzysk. Pełna jest olimpijska wioska, żyją obiekty sportowe, na których zawodnicy ze wszystkich stron świata przeprowadzają treningi. Od tygodni też śledzimy sztafety, niosącą do stolicy XXII Igrzysk Olimpijskich ogień zapalony od słonecznych promieni w greckiej Olimpii.

Wiele już powiedziano i napisano o olimpijskich arenach. Wiadomo, że są ładne, funkcjonalne, przede wszystkim zaś pomyślane tak, aby zapewnić możliwie najwyższy poziom sportowy zawodów. Jeszcze nie rozpoczęły się igrzyska, a już na kolarskim torze Krylatskoje ustanowiono rekordy świata we wszystkich konkurencjach. Podobnie wyglądały próby na innych obiektach.

Jaka więc będzie olimpiada, któ-

dy — 80, na pewno zakończy igrzyska. Czy mniejsza będzie przez to waga olimpijskiego medalu? Na pewno — nie. W większości dyscyplin nie zabraknie na starcie światowej czołówki i tylko w niektórych konkurencjach (pływanie, żeglarsstwo, jeździectwo), absencja znanych sportowców zaznaczy się wyraźniej. Lecz każdy ze startujących w Moskwie z nie mniejszymi nadziejami i nie mniejszą — przez ten fakt ambicją przystępować będzie do walki. Każdy przygotowywał się do igrzysk najlepiej, jak umiał.

Krzywda spotkała tych zawodników — sami niejednokrotnie o tym mówili — którym uniemożliwiono olimpijski start. Próba zmniejszenia wagi olimpijskiego medalu byłaby krzywdzeniem także i tych, którzy wezmą udział w największych sportowych zawodach.

Na Igrzyska Olimpijskie każdy jedzie z nadziejami. Część z nich się spełni, część — nie. Tak jest co cztery lata, tak jest zawsze w sporcie.

bieg na 100 metrów przez płotki kobiet. Każda z Polek (a — przypomnijmy — startować będą Grażyna Rabsztyń, Lucyna Langer i Zofia Bielczyk) ma całkiem realne szanse na złoty medal. Niewykluczone, że wszystkie trzy Polki staną na podium. Jeśli jakkolwiek przypadek (odpuścić) wyeliminowałby jedną z zawodniczek z walki — pozostałe dwie mogą ją zastąpić. Tak to przynajmniej wynika z zestawień najlepszych wyników, uzyskanych w tej konkurencji. Ale czy tak będzie?

Gdzie, poza lekkoatletyką, upatrywać możemy jeszcze naszych medalowych szans? To wie każdy, kto choćby trochę interesuje się sportem. Ponieważ jednak w czasie olimpiad do grona zagorzałych kibiców dołączają także ci, którzy na co dzień nie pasjonują się wydarzeniami na boiskach — przypomnijmy krótko:

- boks — Henryk Średnicki, ale nie tylko on;
- kolarstwo — tylko szosowe;
- pięciobój nowoczesny — Janusz Peciak i drużyna;
- zapasy — całe mnóstwo kandydatów do medali, m.in. Suproń, Kwieciński (to już jego piąta olimpiada), bracia Lipieniowie;
- podnoszenie ciężarów — przede wszystkim Marek Seweryn;
- strzelectwo — Józef Zapędzki (ma już dwa złote medale, trzeci odebrał mu w Montrealu pechowe zacięcie broni);
- męskie gry zespołowe — w siatkówce bronimy „złota”, w piłce ręcznej — „brązu”.

Dość długa jest lista naszych medalowych nadziei. Trudno, oczywiście, spodziewać się, iż wszystkie oczekiwania będą spełnione, tak jak trudno nie liczyć na radosne niespodzianki, które zawsze zdarzały się podczas letnich igrzysk i które przynoszą im tyle uroku.

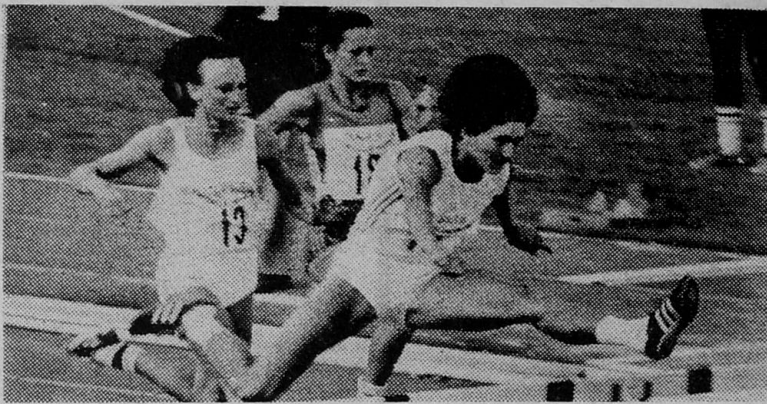
Jakie więc będą — powtórzmy jeszcze raz pytanie — XXII Igrzyska Olimpijskie dla sympatyków sportu, dla kibiców? Oczywiście — inne niż poprzednie, równie niepowtarzalne, choć z drugiej strony, także trochę podobne do nich. Towarzyszyć im będą wielogodzinne transmisje telewizyjne, a później długie, długie dyskusje o tym, co wydarzyło się na arenach.

Już wkrótce — 19 lipca — na Centralnym Stadionie Olimpijskim na Łuznikach start wielkiego sportowego święta.

WOJCIECH MITTELSTAEDT



sport



Czy Grażynie Rabsztyń uda się zdobyć olimpijski medal?

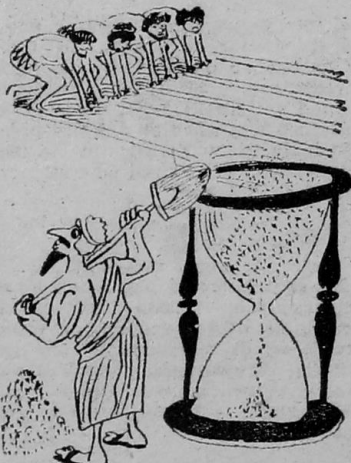
ra rozpocznie się za kilka dni? Na pewno pod względem organizacyjnym stać będzie na wysokim poziomie. Gospodarze zrobili bowiem wszystko, by zapewnić jak najwspanialszy i najlepszy przebieg igrzysk. Wiadomo też, że dzięki nowoczesnym obiektom w wielu konkurencjach sportowa rywalizacja stać będzie pod znakiem rekordowych osiągnięć.

Czy we wszystkich dyscyplinach wystartują najlepsi? — to kolejne pytanie, jakie należy sobie postawić. Decyzje tych narodowych komitetów olimpijskich, które ugięły się pod presją swoich rządów i nie przysyła-

ją reprezentacji do miasta Olimpiad — określonymi też nadziejami jedzie Polska — przypomnijmy, najliczniejsza w historii — drużyna: 322 olimpijczyków.

Trudno przypuścić, aby był wśród nich choćby jeden, który nie zabierałby z sobą do Moskwy marzenia o sukcesie. W sporcie, dziedzinie bardzo wymiernej, istnieją jednakże żelazne prawa statystyk i tabel. Wiadomo, kto występuje w roli faworyta, a kto swoją wysoką lokatą sprawiłby niespodziankę. Trudno wyobrazić sobie, na przykład, aby nasza liczna ekipa lekkoatletów mogła wrócić z igrzysk bez medalu. Oto

W starożytnej Olimpii wzgórce Kron ozdabiali dziesiątki jednakowych posągów Zeusa. Każdy z nich był wzniesiony za grzywny. Płacili je uczestnicy Igrzysk, którzy usiłowali przekupić przeciwników lub — podczas zawodów — doprowadzali rywalów do kalectwa. Po 98 Olimpiadzie na wzgórzu pojawiły się od razu 4 posągi: zapasnik (Ewpol) dał łapówkę trzem swoim rywalom. Kara dla całej czwórki była nie tylko wysoka grzywna, ale ponadto ogólna pogarda. Nie darmo jeden z napisów na



Surowy chronometr obowiązywał już w starożytności.

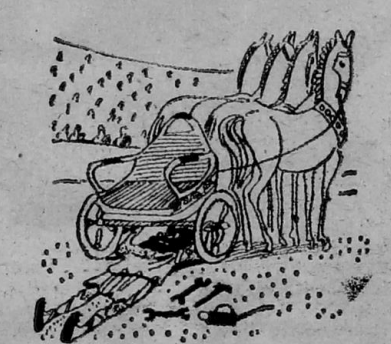
posągu głosił: „Zwycięstwo w Igrzyskach osiąga się nie pieniędzmi lecz szybkością nóg i siłą ciała”.

Najnamienitszym w pankrationie — połączenie zapasów z boksem —

był Milon (560—540 r. p.n.e.). Wspaniały olbrzym, cudownie muskularny, stawał na arenie wysmarowany tłuszczem i dobrotliwie żartował z przyjaciół, którzy usiłowali zrzucić go z areny. Opowiadają, że tego dnia kiedy odniósł swoje szóste zwycięstwo w Igrzyskach, Milon zarzucił na plecy ogromnego byka, dopiero co zabitego na jego cześć, i okrążył z nim stadion. A wieczorem, podczas uczty, zjadł całego byka.

Na I współczesnej Olimpiadzie w Atenach (1896 r.) amerykański sprinter Thomas Burke był jedynym uczestnikiem finału, który bieg rozpoczął ze startu niskiego. Widzowie wprawdzie zdziwili się, ale w miarę. Natomiast podobna próba startu niskiego w ojczyźnie Burkego wywołała u arbitra swoistą reakcję. Sędzia, który komendę start ogłaszał wstrząśniętym głosem, w pustą beczkę, zawołał: „Słuchaj, chłopcze, albo się podniesiesz i będziesz bieg, albo strzeleć ci w tyłek!” No i Burke podparządkował się.

Drużyna włoskich kolarzy-szosowców, która walczyła o laur olimpijski w roku 1960, prowadziła na trasie zażartą walkę. Do mety zostało tylko jedno okrążenie, a sytuacja wciąż była wyrównana. Wtem jednego z włoskich kolarzy osa użądliła w nogę. Z bólu zaczął gwałtownie finiszować. W ślad za nim ruszyli jego koledzy i w rezultacie dru-



Igrzyska kończyły się wyścigiem rydwanów. Na start dopuszczono tylko pojazdy, które przeszły przez kontrolę techniczną.

żyna Włochów zajęła pierwsze miejsce. Na konferencji prasowej zwycięzcy żartowali, że dopingowali ich nie tylko widzowie, ale i osy.

Znakomity japoński sztangista, mistrz olimpiady z Tokio i Meksyku, Y. Miyake, miał swoisty system przygotowań. Spacerował po ulicach z teczką, w której znajdowały się stalowe krążki o ciężarze 50 kilogramów. Pewnego razu Miyake wszedł do sklepu, w którym jego ciężko naładowana teczka zwróciła uwagę złodziejzaka. Na ulicy wyrwał ją mistrzowi i rzucił się do ucieczki. Nietrudno zgadnąć, że Miyake dogonił go szybko i oddał w ręce policji. Na rozprawie sądowej pe-



Historyczne już plakaty z dwóch pierwszych olimpiad nowożytnych — w Grecji i Paryżu — oraz plakat z igrzysk moskiewskich.



## uśmiech olimpijski

chowy złodziej powiedział, że gdyby wiedział, z kim ma do czynienia, nie by nie skradł teczki.

Zawodnik wagi ciężkiej, Don Oliver z Nowej Zelandii, rozpaczał, że walczył na olimpijskim podium w Meksyku z 147,5 kilogramową szlangą. Na rezultat walki sportowiec czekał cierpliwie sędzia notujący Polak, Jan Wituski. W końcu Nowozelandczyk podniósł sztangę nad głowę. I wówczas sędzia nie czekiwanie zamarudził.

— Wszystko w porządku, sir? uprzejmie spytał sportsmen.

— Oczywiście, proszę opuścić stadion, padła odpowiedź wśród ogólnego śmiechu widzów. (al)

Zwycięzców olimpijskich dyscyplinowano na monumentalnych „ciach”.



17.0  
czwartek  
PROGRAM  
9.00. Tele  
tan Doo  
me” (fil  
16.15. Dzi  
16.30. Wa  
17.35. Z  
18.00. Dzi  
18.20. Tu  
18.30. Dol  
18.50. Lek  
19.00. Dzi  
19.10. St  
19.30. Dzi  
20.10. Var  
20.15. „a  
21.00. Pes  
21.50. Pro  
22.10. Dzi  
22.25. Try  
PROGRAM  
10.00. „Pi  
rozrywko  
10.55. Tur  
11.15. Gw  
Kiewicz  
12.00. Dzi  
16.00. Lat  
16.30. Lat  
17.00. „H  
17.30. Sp  
18.10. Pro  
19.30. Dzi  
20.10. Nu  
21.10. 24  
21.20. H  
22.55. Nu  
Piątek  
PROGRAM  
9.00. Tele  
ne Kino N  
16.15. Dzi  
16.30. Wa  
16.55. „M  
17.30. Pio  
17.55. „W  
18.50. Dol  
19.00. Ma  
drogowe  
19.30. Dzi  
20.10. Ko  
Kaszycki  
21.00. Stu  
21.25. W  
21.40. „Pi  
now, wid  
w okolic  
22.25. Po  
22.40. Dzi  
PROGRAM  
10.00. „W  
go TVP.  
10.55. W  
niesłyszą  
11.20. Re  
chel.  
11.45. Dzi  
16.25. Jez  
16.55. Gw  
Kiewicz  
17.40. Sw  
18.15. W  
18.40. Pa  
19.10. Pro  
19.30. Dzi  
20.10. Lat  
Sobota  
PROGRAM  
13.50. „C  
wojskowy  
14.15. Ob  
14.35. Dzi  
14.50. Igr  
18.00. Cer  
18.15. Str  
18.50. Do  
19.00. Sw  
— „Slada  
przednie  
19.30. Dzi  
20.10. „P  
amerykań  
21.05. Bli  
21.35. „N  
gram rozr  
22.30. Stu  
23.00. Dzi  
23.15. „D  
— angiels  
PROGRAM  
16.15. Lat  
19.10. Pro  
19.30. Dzi  
20.10. Lat  
Niedziela  
PROGRAM  
7.20. TT  
8.00. No  
dzie.  
8.30. Al  
8.40. En  
8.55. „St  
12.30. An  
12.55. Dzi  
13.10. Ro  
13.40. Kl  
rodzony w  
14.30. Te  
15.10. Lo  
15.25. La  
15.50. „S  
16.10. „W  
filmowy.  
16.25. „St  
19.00. Wi  
19.30. Dzi  
20.10. „W  
angielski  
21.10. St  
PROGRAM  
8.55. „M  
program  
9.20. La  
19.30. Dzi  
20.10. La  
Poniedział  
PROGRAM  
8.00. St  
13.30. Te  
ka”.



Czwartek 17 lipca 1980 r.

PROGRAM I
9.00. Teleferie: Nieobozowe lato i „Katan Doom”, odc. z serii „Wojna Planety” (film animowany).

PROGRAM II
10.00. „Piosenka na medal” — program rozrywkowy.

Piątek 18 lipca 1980 r.

PROGRAM I
9.00. Teleferie: „Cudaczek” i Wakacje w Kino Najmłodszych.

Sobota 19 lipca 1980 r.

PROGRAM I
13.50. „Czy pamiętasz, żołnierzu” — wojskowy program historyczny.

Niedziela 20 lipca 1980 r.

PROGRAM I
7.20. TTR — zajęcia wakacyjne.

14.55. Obiektyw.
15.15. Dziennik Telewizyjny.
15.30. Wakacje w kręgu rodziny.

PROGRAM II
11.00. „Gołąbeczka”, odc. 3 radzieckiego filmu obyczajowego.

Wtorek 22 lipca 1980 r.

PROGRAM I
8.00. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.

PROGRAM II
10.40. „Złotowłosa” — czechosłowacki film fabularny (dla dzieci).

Środa 23 lipca 1980 r.

PROGRAM I
8.00. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.

PROGRAM II
11.00. „Błękitna planeta” — czechosłowacki film obyczajowy.

PROGRAM I
8.00. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.

Łomża, kino „Październik”: 17 VII — „Prom do Szwecji”, prod. polsk. (od lat 15); 18—20 VII — „Ale kino”, prod. USA (od lat 15); 21—26 VII — „Chiński syndrom”, prod. USA (od lat 15).

Grajewo, kino „Relaks”: 17—18 VII — „Rollercoaster”, prod. USA (od lat 15); 19—20 VII — „Ojciec królowej”, prod. polsk. (bo.); 21—23 VII — „Drogi papa”, prod. włosk. (od lat 18).

Kolno, kino „Wrzos”: 17—18 VII — „Slady”, prod. włosk. (od lat 15);

19—20 VII — „Zerwane cumy”, prod. polsk. (od lat 12); 21—23 VII — „Afera »Concorde«”, prod. włosk. (od lat 15).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars”: 17—18 VII — „Dyrygent”, prod. polsk. (od lat 15); 19—20 VII — „Cenny depozyt”, prod. franc. (od lat 12); 22—23 VII — „Bukareszt godz. 21.30”, prod. rumun. (od lat 12).

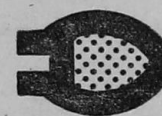
Zambrów, kino „Kosmos”: 17—18 VII — „Powrót człowieka zwanego koniem”, prod. USA (od lat 15); 19—20 VII — „Trzy dni kondora”, prod. włosk.-USA (od lat 18); 21—22 VII — „Prom do Szwecji”, prod. polsk. (od lat 15); 23—24 VII — „Tajemnica”, prod. franc. (od lat 15).

Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.



Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych): we wtorki i czwartki w godz. 11.00—18.00, w środy, piątki i soboty w godz. 10.00—15.00, w niedziele w godz. 11.00—15.00.

Park Etnograficzny Północno-wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie — Oddział Muzeum Okręgowego, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz.



Galeria Jednej Fotografii, ul. M. Bucza 17 (witryna kwaciarni „Mimoza”): Bolesław Deptuła — „Siostry”.

Galeria Sztuki Współczesnej, ul. Ściegiennego 1 (czynna codziennie — oprócz niedziel i dni świątecznych — w godz. 11.00—18.00, w soboty w godz. 11.00—16.00): wystawa



Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: spotkanie Klubu Seniora (w klubie WDK), 19 VII, godz. 10.00; koncert z okazji Święta Odrodzenia Polski (muszla koncertowa lub sala WDK) 22 VII, godz. 17.00.

ŁOMŻA 80, „Studenci Łomży, Łomża studentom”: wieczór z Piotrem Bakalem, 17 VII, godz. 18.30 — w klubie „Bonar” i 19 VII, godz.

W RAZIE POTRZEBY

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1

OGŁOSZENIA DROBNE

„FIATA” 126 p (rok 1980) — sprzedam. Lucyna Kozłowska, Łomża, Słowackiego 6/54.

MIESZKANIE spółdzielcze M-3 w Sokółce woj. białostockie zamienię na podobne w woj. łomżyńskim. Oferty: Białystok, Wesołowskiego 1, Biuro Ogłoszeń nr 4187.

9.00—16.00. Wystawy: 1) Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkacki-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerz z wystawą obrazującą przemiał i przechowywanie zbóż, stodoła ze starym drewnianym kieratem i narzędziami bartnymi. 2) W Dworku z Brzózki wystawa archeologiczna — „Pradzieje Nowogrodu”. 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik — życie i działalność”.

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 9.00—16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00. Wystawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa” (techniki uprawy, pasterstwo i hodowla, transport wiejski, mechanizacja rolnictwa, rzemiosło, tkactwo ludowe). 2) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3) Skansen mazowieckopodlaski z ekspozycją wewnątrz. Wystawy czasowe: 1) „Polska wieś drewniana w malarstwie”. 2) „Numizmaty Polski Ludowej”.

akwarieli Stanisława Kędzielawskiego.

Łomżyńskie Towarzystwo Fotograficzne (hol hotelu „Polonez”): 1) Seppo Pikarinen (Finlandia), Zbigniew Sagan (Polska) — wystawa fotografii; 2) „Łomża w fotografii Mieczysława Gregorka”. Ekspozycja czynna codziennie.

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświęconych — w godz. 12.00—18.00, w soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): „Wnętrze” — popleniorowa wystawa fotografii, Ciechanowiec 79.

19.00 w sali Państwowej Szkoły Muzycznej; koncert zespołu „The Country Family”, sala WDK, 18 VII, godz. 17.00 i 20.00; wieczór z Olkiem Grotowskim, klub „Bonar”. 20 i 22 VII, godz. 18.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kolnie: koncert amatorskich zespołów artystycznych, 21 VII, godz. 16.00; zabawa ludowa (na boisku ZSZ) 22 VII, godz. 18.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wysokim Mazowieckiem: występy amatorskich zespołów artystycznych, 22 VII, godz. 14.00 (w muzyli koncertowej); o godz. 17.00 — później zabawa ludowa.

997 — Milicja Obywatelska 34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne
999 — Pogotowie Ratunkowe
998 — Straż Pożarna
Pogotowie Chirurgiczne, ul. M. Skłodowskiej-Curie 1, czynne całą dobę.

ZESTAW akwariów wraz z rybami — sprzedam. Wiadomość: Łomża, ul. Turlejskiego 3 m. 20 (po godz. 16).

M-2 KWATERUNKOWE w Działdowie, I piętro — zamienię na 1 pokój w Łomży lub okolicy. Jan Józków, Działdowo, ul. Nidzicka 7C/8. Eg 3054-1

Redakcja Programowa TVP zastrzega sobie prawo do zmian w programie.

KONTAKTY

**MINI-KABARET  
PIEKIELKO  
PRZEDSTAWIA DRAMAT  
ADMINISTRACYJNY  
DIABELSKIE  
OBRACHUNKI**

Tym razem akcja toczy się na tomżyńskich pulwach, które choć bezkresne, ale ograniczone, bo rozciągają się długim pasem od wschodu aż do zachodu rzeki Narwi. W powietrzu unosi się woń Łomżyckiej wpadającej do Narwi. Pod kwaterę główną diabła Narwiańskiego zajechała karetka marki „Fiat 1980”, o mocy czterech czarnych koni. Wyśiada z niej diabeł Supraski.

**SUPRASKI:** Hej! Jest tu kto? **NARWIANSKI** (wylazi z kwatery pod krzakami): A kogo tam znowu diabli przynieśli?

**SUPRASKI:** A cóż to, mnie nie poznajecie, kulięgo? Ejże! Coś mnie słabawo dziś wyglondacje. Jakiś taki zmarnowany jestescje czy co?

**NARWIANSKI** (łapiąc się za głowę, a właściwie — za rogi): Ajajaj! Dziś sobota czy jak, zęście już przyjechali?

**SUPRASKI:** Cóż się dla mnie zdaje, że wam pare dni uciekło z życia. Zameldujcie ja o tym, gdzie trzeba. Biebrzański z Bużańskim już so?

**NARWIANSKI:** Czwarty dzień, cholera, na rogach mi siedzą...

**SUPRASKI:** Aaaa! To taka, znaczy się, sprawa jest. Nu tak. Smółkwo od was jedźcie jak wszystkie diabli. Wsadźcie łeb do bagna i bierzem się do pracy. No. Wolajcie Biebrzańskiego z Bużańskim.

**NARWIANSKI:** Nie da rady. Od wczoraj nie mogę się ich dobudzić, diabelnie ciężka sprawa.

**SUPRASKI:** Do stu jasnych Lucyperów!

**NARWIANSKI:** Pssssst! Po ludzku mówiąc — nie wzywajcie władzy na daremno!

**SUPRASKI:** A bo co? U was też ściany mają uszy?

**NARWIANSKI:** Kto wie... Kwateria wcześniej była przygotowana. Dziś w dobie wstecznego postępu...

**SUPRASKI:** Kuliego! Co wy bredzicie. Powiedźcie lepiej, jakąż to była okazja.

**NARWIANSKI:** A cóż by, przyjechali załatwiać sprawę. Myśleli, kmioty, że jak postawią smółkwo, to im popuszczą! Nie ze mną te numery. Dla mnie zło ogólne najważniejsza sprawa.

**SUPRASKI:** Nu, kulięgo! Nie wzięli wy czasem pod uwagę, że oni mogą trenować się? Załatwianie po znajomości, jak nie podumał — piekło idzie na chwale. Póki co, niech sobie śpio. Powiedźcie wy lepiej, coście ostatnio zdziałali. Macie się czym pochwalić?

**NARWIANSKI:** A i owszem. Na przykład — gospodarką komunalną. Doprowadziłem do wywłaszczenia różnych budynków mieszkalnych. Przez pół życia ludzie je budowali, miały iść niby do wyburzenia, a ja bach! I różne biura w nich ulokowałem.

**SUPRASKI:** No, no! To się mnie podobuje nadzwyczajnie. Róbla tak dalej, kulięgo.

**NARWIANSKI:** Pewnie że robię! Gdzie mogę, zmieniam granice miasta. Pół ulicy Sikorskiego zaliczyłem do terenów wiejskich. Aż serce rośnie, jak ludzie płaczą, kiedy im się mniej płaci za wywłaszczenie. Bo trzeba wam wiedzieć, kolego Supraski, że grunty wiejskie są tańsze od miejskich.

**SUPRASKI:** Nu, to może oblejem to operacje. Zostało wam jeszcze trochę smółkwo? Wypijem po jednym w ramach dbałości o dobre kontakty, póki się nie dobudzimy Biebrzańskiego z Bużańskim.

**WIESŁAW TOMASZEWSKI**



„Nosferatu — wampir”, najnowsze dzieło zachodniemieckiego reżysera, Wenera Herzoga, tylko z pozoru jest klasycznym filmem grozy. Wprawdzie mnóstwo tu rekwizytów; są trumny i trupy, stare zamczysko i nietoperze, statek-widmo załadowany szczurami, jest także piękna Lucy o niewinnym sercu i gładkiej szyi, która szczególnie podoba się wampirowi, ale wszystko to razem służy jako tło opowieści poetyckiej i romantycznej. Wampir — koncertowo grany przez Klauza Kinskiego, aktora polskiego pochodzenia, specjalizującego się w rolach wariatów — chociaż pija krew, okazuje się w końcu wampirem bardzo ludzkim; cierpi, bo nie może ani umrzeć, ani być kochanym. Jest to zatem jedna z najbardziej uczłowieczonych wersji hrabiego Drakuli.

Twórca filmu, przynajmniej do poetyki starych germańskich mitów,

nie ukrywa równocześnie, że „Nosferatu — wampir” został pomysły jako film o współczesnym społeczeństwie; „dążącym ku nudzie i otłuszczeniu”. Intencje te ujawniają się najmocniej w momencie, kiedy holenderskie miasteczko Wismar opłonuje plaga zadumionych szczurów. Wówczas społeczeństwo dostojnych kupców i czcigodnych mieszczan, pozbawionych wiary w ocalenie, wyzbytych hamulców i nakazów, rozpada się — system niby pewny i trwały okazuje się zawodny, a wartości jeszcze wczoraj najwyższe — nieważne.

Film, choć nie zbywa byle czym poszukiwaczy dreszczyku, jest bar-

dziej filmem nastroju niż mrozących krew wypadków, ale przede wszystkim jest to kino pięknego obrazu. Piękny jest krajobraz, zamek Drakuli i miasteczko Wismar, jest to przy tym piękno wyraźnie inspirowane urodą dawnego malarstwa o kolorystyce wręcz wyszukanej i mającej siłę symbolu.

Jest to horror inny od innych. Zatem i wątek miłosny, czyli rzecz między piękną Lucy a wampirem nie polega na gwałcie. Zbyt łatwo bowiem przychodzi żonie pośrednika w handlu nieruchomościami złożyć z siebie ofiarę w ramionach, czy raczej w szponach nieszczęsnego hrabiego, którego to zresztą zabija.

**HORROR**

**WAMPIR W TECHNIKOLORZE**



Zakład Zaopatrzenia Rolnictwa WZSR w Łomży, za pośrednictwem „Zielonego Sztandaru”, prosi rolnika Wiesława S. o wykupienie dodatków paszowych. Ciekawe, czy ta droga zaopatrywania przyjmie się na stałe?

\*

„Sztandar Młodych”, na marginesie dyskusji o potrzebie kadr wykwalifikowanych, podaje, że z 12

**WYWARY  
WSPÓŁCZESNE**

wykształconych bibliotekarzy, mieszkających w Łomżyńskim, 11 pracuje w innym zawodzie. Czy aby nie grają w piłkę?

\*

Zenon Piechociński pyta na łamach prasy centralnej, jak publiczność łomżyńska miała przyjąć wykład na temat: „Nowa sztuka — nowa estetyka; wokół sporów o przedmiot refleksji estetycznej i jej miejsca w świadomości społecznej”. Odpowiedzi brak.

\*

„ITD” po IV Konfrontacjach Studentów Szkół Artystycznych: „W tym roku Łomżę zdominował cyrk”.

**BESTIARIUSZ  
KIESZONKOWY**

wa **HEINZA MODEGO**

**AKEPHALOSY** — bezgłowi czyli brzuchotwarze znani są przede wszystkim ze skandynawskich i staroirlandzkich sag, w których występują jako upiorne „żywe trupy”. Na Pomorzu Wschodnim akephalos pojawia się pod postacią widma „wor” czyli pastucha z wdziakiem noszącego własną głowę pod pachą.

„Die Welt” poinformował czytelników, że coraz więcej ludzi poddaje się kuracji metodą świeżej komórki. Dziennik przypomina, że wśród pacjentów byli między innymi papież Pius XII, Konrad Adenauer, Marlena Dietrich i Marylin Monroe. Leczenie odbywa się w ten sposób, że z wnętrza świeżo zarzniętych zwierząt, najczęściej owiec, wypreparowywana jest substancja zawierająca świe-

**DZIWY Z IMPORTU**

**NA ZDROWIE**

że komórki, wstrzykiwane następnie poddajacemu się kuracji pacjentowi.

Kuracja jest droga, mimo to specjalizująca się w leczeniu świeżymi komórkami szwajcarska klinika nad Jeziorem Genewskim może pochwalić się wielomilionowymi obrotami.

**GDZIE JEST PIEKŁO?**

Witold Bunikiewicz przytaczając takie autorytety, jak proboszcz z Rypina, dziekan z Rozdołu i scholastyk płocki Idzi, skłania się ku pogładowi, że piekło „znajduwać się musi koniecznie pod ziemią”. Podobnie też zeznawała pociągnięta za język czarownica Marta Siendzianka.

Literatura przedmiotu wskazuje na pięć odkrytych bram do piekieł, aczkolwiek znawcy twierdzą, że jest ich znacznie więcej. Pierwsze wejście do piekła jest w Warszawie, drugie w Krakowie, trzecie pod Krzywym Mostem niedaleko Miawy, czwarte na bagnie w Brzozdowcach i piąte pod Lublinem.

Interesująca jest historia tych odkryć, a szczególnie ciekawy jest — opisany przez Bunikiewicza — krakowski przypadek pana Dymy.

Pan Dyma wychodząc późnym wieczorem z piwniczki „Pod Złotym Kogutem” przy ulicy Brackiej, „stracił nagle kierunek” i znalazł się w lochu śmierdzącym siarką. Oszukawszy diabelskiego strażnika, który

„merdał okrutnie ogonem”, i przebywszy wielką rzekę smoły, znalazł się wreszcie w towarzystwie paru tuzinów diablic bardzo urodziwych i bardzo zalotnych. „Jedne miały włos czarny jak heban, inne złoty niby dojrzały snop pszenicy, były płowe i szare, a niektóre nawet rude, wszystkim zaś błyszczały oczy jak wilkom po nocy”. Diablice walczyły o pana Dymę, ale jedna, najsprytniejsza, przywarła do słacheica, który najpierw doznał niebываłej przyjemności, po czym ocknął się w domu wdowy po trybunalskim asesorze. Wdowa mówiła: „Nic to, nic, za chwilę będzie już dobrze. Zmylił waszmość — trochę drogie i znalazłam go w rysztołku przed moim domem”.

Dyma poznał we wdowie diablicę, ale skuszony temperamentem jej — wkrótce potem pojął za żonę. Ie-kroć ją potem całował, zawsze przypominał mu się tamten wieczer w Tłusty Czwartek — jest to niezbity dowód, że jedna z bram piekielnych znajduje się w Krakowie przy ulicy Brackiej.

**PEK ROGAŁIŃSKI**

— dowódca jazdy piekielnej. Zdegradowany przez Lucyfera po jednej z przegranych batalii (dowódca został wówczas ulan Lejba), nie mogąc znieść despektu, wyniósł się z piekła na ziemię. Służył jako kapral Kipfel w wojsku pruskim, ale kiedy po udanej asyście Kipfela przy porodzie królewskiego syna szczęśliwy ojciec mianował byłego pułkownika jazdy nadwornym akuszerem, Rogaliński zaciągnął się do czeskiego wojska jako porucznik

Rohlik. Od Czechów uciekł, ponieważ jenerał zamierzał powierzyć mu stanowisko naczelnego kapelmistrza z prawem do szynkowania piwem.

W Polsce podczas pospolitego ruszenia Rogaliński prawie został rannym, ale dał się szpetnie porać w jednej z burd, i na tym właściwie zakończyła się jego wojskowa kariera. Przez jakiś czas ogrywał szlachtę i kupców w karty, później był adwokatem, ale wiedzie mu się coraz gorzej.

**POCZET DIABŁÓW POLSKICH**

pokusy pokusy pokusy organ samoistny pod redakcją Andrzeja Koziary pokusy pokusy

KONTA 3 VIII CENA